



№ 31—32.

ROK WYDAWNICTWA LIII.

Dnia 3 i 10 Sierpnia 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2,25, kwartalnie: Mk. 6,25, półrocz-
nie: Mk. 10,50, rocznie: Mk. 20.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonpa-
relowy lub jego miejsce „za tekstem” Mk. 1,50; ogło-
szenia zwyczajne „za tekstem” Mk. 3,15, marginesa
Mk. 2,50, kolumna Mk. 4,50. Załączniki Mk. 50 za tyg.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 85.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM

Pod redakcją ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycja główna: Nowy-Swiat 41.

Drobnym rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincji, w Austrii, Galicji,
w Rzeczypospolitej i w Ks. Poznańskim:
Rocznie: Mk. 30, półrocznie: Mk. 15, kwartalnie
Mk. 9,50.

W Lublinie „Bluszcz” w biurze dzienników
„REKORD” — Kapucyńska 2.
W Krakowie u Wójc. D. E. Pradzińska—Rynek 17
i Zakładowo przy Retyrki 1.
We Lwowie — w biurze dzienników W-go Hen-
ryka Buchatoba — ul. Karola Ludwika 21.

POLSKI POSTĘP.

(DOKOŃCZENIE).

Niejednokrotnie powołujemy się na zdro-
wy i prawdziwy nasz instykt narodowy,
samozachowawczy, który istotnie często
dyktował społeczeństwu prawidłowe wy-
jścia z ciężkich opresji politycznych.

Ale dalszego postępu polskiego nie
można zaufać już jedynie instyktowi, wy-
tworzonemu przez tradycję, gdyż życie
dziś jest coraz bardziej skomplikowane.

Dziś to nie wystarczy. Dziś szerokie
masy muszą sobie uświadomić cele naro-
dowe, nateżać wolę w kierunku raz ob-
ranym, prowadzić przez swych współobywa-
teli politykę konsekwentną, zgodną z uczu-
ciami narodu, ale nie uczuciową. Nade-
wszystko konstytucyjną tak należy zsolida-
ryzować społeczeństwo, by nie było miej-
sca na czynny bezład, rozbieżność inicja-
tyw sejmów i narodu.

To, że naród polski ceni nade wszystko
indywidualność, to wytyka postępowi poli-
tycznemu drogę, którą cała ludzkość prowa-
dzić może do nowego słońca wolności
i skupić dookoła Polski narody sąsiednie,
wytworzyć w ten sposób wielką Rzeszę na
zasadach wolnej federacji z zupełną wol-
nością narodów u siebie.

To, że naród polski niema granic na-
turalnych sprawiło, że Polak każdy i Pol-
ka każda indywidualnością swoją i swoje-
go domu musi się stać żywą fortecą, nie
dopuszczającą żywiołu obcego do za-
bierania mu duszy. Tak już było w stop-
niu bardzo wysokim, szczególnie w dobie
popowstaniowej, kiedy system rusyfikacji
przyczynił się do o tę fortecę polskiej jed-
nostki i polskiego domu, polskich trady-
cji i polskiego obyczaju.

Polski postępowi musi jeszcze spotęgować
odporność naszej jednostki, musi zapew-
nić polskiej jednostce maximum możliwości
rozwoju, tak by każdy Polak już sam w so-
bie był Polską całą. Nasi historycy i poli-
tycy zarzucają nieraz narodowi, że w do-
bie popowstaniowej zamął w czyn, że się
zamknął w skorupie egoizmu i domo-
wych pieleszy, że nie nie uczynił.

Jakże to paszkwił i jakie niezrozumie-
nie duszy polskiej! Polskiego indywidual-
izmu!

Toż właśnie to wycofanie się do domo-
wych progów całego społeczeństwa, ta po-
zorna abnegacja z czynu zbiorowego—była
wówczas najmańdrzejszą polityką, bo
wobec fizycznej niemożności jakiegokol-
wiek czynnego zewnętrznego reagowania,
jedynie wskazanym było właśnie moralne
ufortyfikowanie polskiego domu, dworu
czy chaty, polskiego ogniska domowego.

Dokonywał się w ten sposób westalizm
znica polskiego.

Historia cywilizacji nazwie może kie-
dyś rolę, jaką odgrywa Polska—mystyczna.

Polska była krzewicielką chrześcijań-
stwa na wschód, Polska była wałem ochron-
nym kultury Zachodu, Polska była Chry-
stusem cierpienia między narodami, cier-
pienia, które przeobraziło ją, odrzodziło,
wskrzesiło, bo wierzyła.

W tem Polska podobna jest do katoli-
cyzmu.

Bo dlaczego katolicyzm zachował się
zwyckie pomimo niezliczonych herezji,
renesansu, wolnej myśli, racjonalizmu, po-
zytywizmu, nihilizmu, ateizmu i wszelkich
innych czynionych mu hojnie wstrętów?

Dlatego, że ma w sobie mistykę, wi-
arę w rzeczy wyższe, wzniośle, niepojęte,
nadprzyrodzone.

A tłum nie chce i nie może żyć bez
tego. Musi mieć swój romantyzm.

Myślę, że gdyby postępowi polski wziął to
na uwagę, wyszło by mu to na dobre.

Ci, którzy walczą dziś z romantyzmem
w Polsce, mają wiele racji dlatego, że ja-
kieś zagmatwane mózgi poprzeprosili punk-
ty ciężkości romantyzmu z życia duche-
wego do życia materialnego, robiąc z jed-
nostek niedołęgi, safandulów, którzy wy-
tworzyli sobie teoryję, że wiara sama już
wystarczy i że czyn jest niepotrzebny, a na-
wet szkodliwy.

Romantyzm był w Polsce religią polity-
ki, ale nie zasadą odrywania się od życia.
Zawierał w sobie wszystkie pierwiast-
ki religij: wiarę, męczeństwo i zbawienie.

Wszystko się to już dokonało lub koń-
czy dokonywać.

Dlatego to romantyzm, jako program,
oddamy do szacownych i świętych pamią-
tek muzealnych, ale jako idee, nie, gdyż
wzrósł on nam w tradycję, stał się krwią
naszą i należy go jedynie odrzodzić w po-
staci romantyzmu pracy, romantyzmu czyn-
u, głównie zaś pracy, bo praca dziś jest
i stać się musi na przyszłość i programem
naszym i czynem.

Postępowi polski będzie miał doskonałe
zapasy, skąd czerpać ma siły, w trady-
cjach polskich i w rasie samej... Ale brak
mu będzie dwóch, niezmierznie ważnych
czynników, które utraciliśmy z powodu nie-
woli, to — brak ciągłości w instytucjach
i w wychowaniu.

Tradycja w instytucjach podtrzymywała
może jedynie samorządną gminą i po-
części sejm galicyjski, ciągłość edukacji
polskiej—nasze prastare wszechnice. Poza-
tem instytucje nasze były ciągle zamyka-
ne, skazywane na banicję, konfiskowane,
niszczone, na nowo tworzone, traciły je-

dynie bogata w rezultaty ciągłość nieprzerwania.

Bo utrwalenym łańcuchem dziedziczenia, czyli utrwaleniu się historii w żyłach narodu odbywa się w następującej kolej: 1) pamięć świeża; 2) tradycje świadome; 3) tradycje bezwiedne; 4) tradycje szcztakowe.

Z naszych dawniejszych tradycji przynosimy do polskiego postępu te tylko, które nam się wydają korzystnymi na przyszłość, te będziemy hodowali zarówno w wychowaniu młodzieży jak w serdecznych wspomnieniach, zapamiętaniem wyprowadzając z siebie tradycje niekorzystne.

Niestety, wśród świeżych tradycji, wśród za naszej pamięci, za naszych ojców przeżyte historii, mamy tradycję niewoli, która wprawdzie była powodem narodzin polskiego mesjanizmu, romantyzmu, ale która dała nam wiele rozkładowych elementów.

Polski postęp musi zacząć walkę na śmierć i życie z temi tradycjami.

Zachowanie się narodu polskiego podczas wojny europejskiej dało niezliczone dowody, że zaraza ta nie dotknęła jeszcze rdzenia narodowego, przemknęła się jeno powierzchownie i że naród nie stracił kontaktu ze swemi tradycjami.

Dowiodło nam ono też niezniszczalności naszych wiecznych cech duszy zbiorowej.

Szczególnie pouczająca, w dziedzinie poznania psychologii ras polskiej jest obserwacja wysiłków czynionych przez naród dla odzyskania wolności politycznej w rezultacie wojny europejskiej.

Naprawdę widziimy wysiłki ratunkowe. Powstają komitety najzupełniej samorządne, z inicjatywą prywatną. Wyłaniają się one jedynie z poczucia obowiązku obywatelskiego. Nikt im nie daje sankcji, ale wszyscy im pomagają. Tworzą się komitety narodowe do spraw politycznych w Galicji i Królestwie. Naród ich oficjalnie nie uznaje, ale współdziała im. W metodach działania Komitety te przeczą sobie najzupełniej, ale obydwa dążą naturalnie do osiągnięcia maximum dla swego narodu, idą różnemi drogami, a nawet uderzają w różne punkty, ale naród widzi w dążeniach ich wspólne ideały.

Społeczeństwo z inną organizacją psychiczną niż nasza, nie tak indywidualistyczną, nie wytrzymało by takiej sytuacji, jaka się wytworzyła w Polsce podczas wojny.

Żaden nakaz żadnego rządu centralnego nie mógłby być nakazać, nawet gdyby się był taki utworzył, by Polacy walczyli dobrowolnie we wrogich obozach, brat z bratem, by w tej walce nie stracili do siebie wzajemnej miłości, nie zaprzęścili w zacięciem idealu niepodległej własnej ojczyzny, walcząc pozzornie dla obcych; zwalczać się pozzornie na drogach dyplomatycznych, a jednak wysnuwać z tej walki jedyny postulat niepodległości.

Polskę dziś buduje nasza tolerancja inicjatyw prywatnej, naturalny rozwój energii niczem nieskrępowanej, przez żaden terror współobywateli, regulowany jedynie przez miłość ojczyzny, wolności, honoru.

Wszystkie te właściwości polskiego

charakteru, o których dotąd mówiliśmy, winny stać się podwaliną polskiego postępu, to jest *gromadzenia i wzmaganie się sił materialnych i moralnych dla twórczości i walki w kierunku osiągnięcia najkorzystniejszych warunków bytu, przy ciągłej rewizji idei.*

Gustaw Olechowski.

JULJA KISIELEWSKA (J. OKSZA)

CHEŁMSZCZYZNA.

Unja a Schyzma. Męcennicy a Hajdamacy.

Poraz pierwszy była ta godność w kościele ruskim. Izydor wracał do Polski przez Węgry i z Budy wysłał list pasterski do swych biskupów o szczególlem nastaniu unji. W Sączu czekał na niego Zbigniew Oleśnicki i przyjął radośnie z otwartymi ramionami. Izydor odrzucił nabożeństwo po słowiańsku najprzód w Sączu—w kościele parafjalnym łacińskim, w Wielkiej Piątce 25 marca 1440 roku. Następnie zjechał do Krakowa, i wobec Oleśnickiego, oraz wielu koronnych panów, biskupim obrzędem odrzucił mszę uroczystą w katedrze na Wawelu. Ze stolicy pojechał do Lwowa i tam również w katedrze łacińskiej odrzucił nabożeństwo, dla stwierdzenia jawnego tożsamości dwóch kościołów. W Sączu oczekiwał na króla Władysława Jagiellończyka, który tamtey zjechał na Węgry dla objęcia korony, w celu walki z Turkami, która miała unję zapewnić trwałość i panowanie. Następnie w drodze do Kijowa—przybył metropolita do Chełma. Tłumy ludu czekały na niego. Chełm—w środku włojskiej i Czerwonej Rusi, gród stary, ognisko życia cerkiewnego—witał go z niebyszałą uroczystością. Metropolita ogłaszał wszędzie unję i błogosławił cerkwie. Stamtąd udał się do Kijowa i zaprowadził unję we wszystkich podległych mu biskupstwach. Unja przyjmowała się bez najmniejszego oporu, gdyż lud nie tracił nie z obrządków do których był przywiązany, a duchowieństwo zwykiwało przedniejszą organizację—i opiekę papieża zamiast patriarchy carogrodzkiego.

Metropolita Izydor—miał nie tylko Kijowską, ale i moskiewską metropolię pod swoim zawiadywaniem. Musiał się tedy udać do Moskwy, której wielki książę po szczególlem wyzwoleniu się z pod jarzma tatarskiego dążył teraz do stworzenia silnego, despotycznego państwa na Wschodzie, Wasyl Joannowicz był to polityk znamienity—i biegły teolog. Misję metropolity Izydora przyjął z okropnym gniewem—zarzucił Grekom herezję—Izydora zamknął w monastyrze i jako heretyka skazał na spalenie. Metropolita zdołał uciec z więzienia i powrócić do Kijowa celem utwierdzenia swego dzieła. Książ Wasyl zamyślał dla Moskwy osobnego metropolity Jonasa i odtąd rozwijał się pod ścisłym nadzorem wielkich książąt, a później carów moskiewskich schyzma skostniała wrtutem—powna despotyzmowi—ciemna i fa-

natyczna u dołu—chciwa dostojenstw i politykująca u góry. Wyrabiał się ten jej typ i charakter, który później za Piotra Wielkiego zastąpił w formy zdobyczego, brutalnego w propagandzie, a uniżonego wobec władzy—prawosławia.

Unja w Polsce przetwała klęskę Warmańską, która osłabiła znaczenie unji Florenckiej dla Konstantynopola;—utrzymała się przez całe panowanie króla Jagiellończyka i dopiero za Aleksandra poważnych doznała ciosów od agitacji schyzmatycznej. Metropolita Izydor udał się do Rzymu—posłował do Konstan. W chwili obłożenia miasta przez Turków—dostał się do niewoli,—z której [po kilku miesiącach] wypuszczony osiadł na stałe w Rzymie i pochowany jest u św. Piotra. W Carogrodzie patriarcha i cesarz Jan, wracając z Włoch po zawarciu unji florenckiej doznał jaknajgorszego przyjęcia od ciemnych mnichów i szatanizowanego ludu przeciw unji zaczęła się wsiećka agitacja—w obliczu groźnego wroga, który też wkrótce, bo w roku 1453 zdobył Konstan i został Grekom ich wyznanie pod warunkiem zupełnego zerwania z Rzymem. Tak więc rząd najezdniczy, turecki—podtrzymał i postawił na nowo schyzmę. W Polsce unja upadła w XVI wieku, z powodu zaniedbania przez kościół katolicki i przez rząd. Za Aleksandra z Heleną, księżówną moskiewską wdarała się propaganda schyzmatyczna w samo serce Litwy.—Zygmunt Stary—zduł bunt Głiński i odrzucił pretensje Moskwy—ale sprawę unji zaniedbał. Gorące spory reformacji—szerzenie się na Litwie kalwinizmu i innych herezji—zapełniło tę sprawę tak żywotną dla Polski—z porządku dziennego. Za Zygmunta Augusta znowu schyzma, w łączności hierarchicznej z Carogrodem rozpostarła się na wszystkich djecejach ruskich. I dopiero gdy Kościół katolicki za wpływem takich mężów jak Hozjusz, Kromer, Karnkowski począł się odradzać, gdy Zakon Jezuitów wydał Wujka i Skargę—za czasów Zygmunta III-go—sprawa unji poczęła na nowo zapalać umysły—wśród laickowników z jednej strony—a wyższego kleru ruskiego z drugiej.

III.

Unja brzeska. Apostołowie i męcennicy unji. Kozaczyszna. Ugruntuwanie unji w Rzeczpospolitej. Synod Zamojski.

W roku 1577 wyszło w Wilnie dzieło ks. Piotra Skargi p. t. „O jednoci kościoła Bożego pod jednym pasterstwem i Greckim od owej jednoci odstąpieniu. Z przestroga i upomnieniem do narodów ruskich przy Grekach stojących”. Był to ze strony Zakonu Jezuitów pierwszy krok do podjęcia rokowań ugodowych. A pora właśnie znakomicie została wybrana. W Moskwie założono podówczas nowy patriarchat, niezależny od Carogrodu, a mający wywierać atrakcję na kościół ruski w granicach Rzeczpospolitej, co więcej metropolita kijowski Michał Rahoza popadł w ostry zatarg pieniężny z patriarchą carogrodzkim. Wtedy to wśród wybitniejszych biskupów ruskich dojrzał zamiar,

aby podnieść cerkiew ruską z upadku przez unję z Rzymem. Wśród magnatów świeckich książę Bazyli Ostrogski zdawał się przychylny tej sprawie, jednakże wkrótce później, gdy zamiary weszły na drogę po ważnych układów cofnął się i stawiał trudności. Z biskupów ruskich najgorliwiej zabrali się do dzieła Cyryl Terlecki, biskup łucki i Hipacy Pocię, włodzimierski. Oni to właściwie byli głównymi twórcami unji, gdyż metropolita kijowski Rahoza zachowywał się dość chwiejnie i nierówno.

Pod dłuższych rokowaniach zwołano w 1595 r. synod do Brześcia litewskiego, gdzie ułożono warunki unji, które Terlecki i Pocię przedstawili mieli w Rzymie do zatwierdzenia papieżowi. Pod aktem unji brzeskiej podpisali się wszyscy biskupi ruscy z metropolitą na czele. Kościół ruski uznawał zwierzchnictwo papieża i przyjmował wszystkie zasady wiary katolickiej, a zachowywał odrębny swój obrządek w języku ruskim i wolność małżeństwa dla księży. Prócz tego w akcie wyrażona była prośba o zrównanie biskupów unickich z katolikami przez danie im miejsca w senacie Rzeczypospolitej. Papież Klemens VIII zasady unji zatwierdził i bardzo gorąco polecił ich wprowadzenie w życie.

Unja, tak pięknie pomyślana i ułożona, była dziełem wielkiej doniosłości ze stanowiska religijnego, a mogła stać się błogosławieństwem dla ludności i dla państwa. Niestety jednak nie została w zupełności doprowadzona do skutku. Gdy wysłannicy synodu brzeskiego powrócili z Rzymu, zostali w kraju intrzygi, agitacje, rozdrożenie. Z jednej strony biskup lwowski Balaban i przemyski Kopystyński, pociągający za sobą chwiejnego metropolitę, sprzeciwiali się przyjęciu unji, już zawartej z Rzymem, z drugiej książę Ostrogski wystąpił jako zawzięty jej przeciwnik. Powtórny synod w Brześciu zgromadził część tylko biskupów ruskich, którzy przyjęli unję; przeciwnicy utworzyli jednocześnie antysynod i pozostali przy kościele greckim, odtąd zwanym dyukimskim.

W znacznej mierze do zniechęcenia biskupów ruskich przyczyniło się to, że senatorowie, a zwłaszcza biskupi katolicy oparli się dopuszczeniu biskupów unickich do senatu.

Był to błąd olbrzymi i niepowetowany, który tłumaczyć jedynie można pychą i ciasnota, jakie odtąd coraz częściej spotykamy w miejsce rozumu i cnót obywatelskich dawnych możnowładców. Gdyby biskupi unicy otrzymali miejsce w senacie, unja doznałaby większego poparcia u duchowieństwa ruskiego. Ten błąd pomścił się srode na Rzeczypospolitą.

(D. c. n.).



Z zagadnień wychowawczych.



Sprawa zmian w programach szkolnych należy dziś do zagadnień, które wzbudzają najwięcej zajęcia. Temat rozgrzewa nauczycieli, zaciekawia rodziców, ludzi my-

ślących zachęca do współpracy. Jest on zarazem jednym z tematów najbardziej popularnych, leżących wprost w polskiej krwi, a popartych tradycją historyczną. Już Rzy rozprawiał ongi, jak należy wychowywać „młódź swawolną”, zaś wtórowali mu wielcy statysci w owym okresie silnej jeszcze tężyzny narodowej, a zarazem gorącożewo wprost dążenia do reform, jakim była myślna i ruchliwa epoka drugiej połowy wieku XVI. W czasach późniejszych z wzrostem intelektualizmu, a zarazem przy ponownym rozkwicie literatury polskiej zaganianie to podjął znów Konarski, a rozwiązała je Komisja Edukacyjna. Reforma szkoły polskiej została dokonana, lecz bieg jej przerwany został przez upadek polskiej Rzplce. Prąd trwał dalej i dzisiaj czytamy ze wzruszeniem o żmudnej i owocnej, gorliwej a trudnościami usianej pracy Tadeusza Czackiego. W legjonach na ziemi włoskiej oficerowie zakładali szkoły, a później iść to było wysiłków i poświęceń, ileż kar i przesładowań za to, że młode Polki-entuzjastki zbierały dzieci wokół siebie, by uczyć je pisać i czytać i opowiadać im o dziejach narodu. Fakty to są znane, prawie codzienne. Dziewiętnastoletni Adam Mickiewicz, zanim jeszcze został nauczycielem w Kownie, powołał myśl napisania Retoryki szkolnej i stworzył zrazem, jak świadczy o tem niedawno odkryte Archiwum filomackie, wzorowy i szczegółowy plan samokształcenia się w I Wydziale Stowarzyszenia Filomatów.

Dzisiejsza dążność do reform szkolnych jest objawem bardzo znanym. Owocem jest jest całkowity plan przebudowy, opracowany na zjazdach pedagogicznych przez siły zawodowe, który spoczywa dotąd bezowocnie w galicyjskiej krajowej Radzie Szkolnej. Kiedy jednak na rozwój szkoły polskiej nowa przyszła pora, nie brak nam ani chętnych do pracy, ani głów dostatecznie do niej przygotowanych.

Nie będziemy tutaj poruszać sprawy różnicy między wykształceniem t. zw. humanistycznym a zawodowym. Jest dla nas wszystkich rzeczą oczywistą, iż w przyszłej Polsce potrzeba będzie jak najwięcej i jak najróżnorodniejszych szkół fachowych. Sprawa reformy podręczników i ich koncentracji czyli nauczania tego samego przedmiotu od początków w stosunku do dojrzałości ucznia raz lub dwukrotnie zostanie niewątpliwie pomyślnie rozwiązana. Pozostaje jednak rzecz jedna, która należałoby się szerzej zająć, sprawa zasadniczej reformy szkół kobiecych.

Różnica intelektualna pomiędzy kobietą a mężczyzną stanowi zawsze pewien urok dwu światów, które się dopełniają, choć posiadają nawet odrębne kategorie myślenia. Nauczyciele, którzy uczą w szkołach jednych i drugich, najlepiej zdają sobie z tego sprawę. Umiejętniejsi z pomiędzy nich stosują nawet dwójaką metodę nauczania. Różnice opierają się na tysiącach danych, drobnych nieraz napozór, które jednak stanowią o wielkiej odrębności w myśleniu i zdolnościach. Wyłania się tutaj sprawa rządowych szkół średnich kobiecych o programie całkiem odrębnym. Wobec tego, iż żeńskie zakłady prywatne

wprowadzają obecnie od klas początkowych coraz częściej program męski, by ułatwić uczniom wstęp na studia uniwersyteckie, sprawą tą należy się szerzej zająć.

Z chwilą, gdy kobiety dopuszczone zostały do szkół średnich i wyższych, w Galicji, jak wogóle niemal wszędzie, nie pomyślano na razie o potrzebie zmiany programu. Nie zapobiegły temu utworzone z czasem licea, które ograniczyły zresztą dowolny wybór nauk uniwersyteckich. Dziewczęta uczyły się tych samych przedmiotów, co chłopcy, i nawet z ich podręczników. Były pomiędzy niemi takie, które w szkołach wyższych, z początku zwłaszcza, przywdziewały na siebie męski strój, a większa ich część naśladowała swych kolegów obyczajem. Kobieta wchodziła w męski świat przygotowania do zawodów, kazano jej myśleć jak mężczyźnie, nie czyniono między nią a nim żadnej różnicy. Z czasem stosunki zmieniły się na korzyść. Gdy jednak celem społeczeństwa jest wykształcenie zarówno doskonałe kobiety, jak mężczyzny w stosunku do ich zdolności i warunków, czy tożsamość wychowania była właściwą?

Uniwersytet powinien pozostać dalej szkołą wspólną. Stanowi on już pewien okrąg dojrzałości umysłowej, w którym dwa światy spotykają się na gruncie wybranych dobrowolnie *nauk ścisłych i wiedzy ogólnoludzkiej*. Uniwersytet jest dalej ostateczną drogą do wspólnych nieraz zawodów. Dostęp nań dla kobiet jest rzeczą tak zasadniczo ważną, iż projekty wszelkich szkół, któreby nie prowadziły ich do tej wspólnej świątyni nauk i pomostu do wyższej pracy zarobkowej zostały skazane na natychmiastowe niepowodzenie. Inaczej jest ze szkołą średnią. Tutaj odrębność pewna powinna zostać wprowadzona. Powinny one prowadzić dziewczęta do studyów wyższych inną drogą, innem nawet wykształceniem, ale do tego samego celu. Program szczegółowy należy ścisłej rozważyć. Musi on jednak dokonać innego rozkładu i zakresu przedmiotów i zarazem nieraz zmiany podręczników. Szkoła średnia dzisiejsza uwzględniła naprzykład geometryę wykreślną, a nie daje kobiecie najlżejszego pojęcia o jej zajęciach rodzinnych i gospodarskich, które w życiu jej przy każdym zawodzie odgrywają ważną rolę. Przy pewnem ograniczeniu nauki języków klasycznych można by wprowadzić ogólne przygotowanie do dzieł sztuki i krótki choćby zarys historii literatury powszechnej, czego brak zresztą i chłopcom. Z doświadczenia przekonujemy się, iż wiadomości z zakresu np. literatury zachowują dziewczęta dłużej i szczególnie, niż chłopcy, a nieskończenie rzadziej, niż np. ze stereometrii. Odpowiadają one bardziej ich upodobaniom i zdolnościom. Wiedzy ścisłej z nauk matematycznych i fizycznych zaniedbywać nie można, lecz o ile znajdzie się w Polsce matematyczka, jak Sophie Germain, lub chemiczka, jak p. Skłodowska, to z pewnością będzie to objaw tak fenomenalny, iż, jak pierwsza z nich, bez szkół nawet, z samego czytania dojdzie do wiedzy, która uczyni ją

chłubą narodu. Szkoła średnia ma jedynie nie utrudniać im swobodnego wyboru w naukach uniwersyteckich, a poza tem dokonać doskonałego i normalnego rozwoju kobiecej duszy i intelektualizmu.

Sprawa druga dotyczy podręczników. Weźmy naprzykład historię dla klas niższych. Dziewczęta uczą się o Pelopidasie i Epaminondasie, Heraklesie i Mucyzusie Scewoli, a nic nie znajdują w niej przykładów wielkich cnót lub bohaterstwa kobiet, jak matka Grakchów lub Chrzyszowska. Znowu uczą się na obcych wzorach, na czym korzysta ich wiedza, lecz nie rozwija się ich charakter.

Prócz szkół średnich Polska musi stworzyć cały szereg kobiecich szkół zawodowych o doniosłym nieraz znaczeniu społecznym. Sprawa ta stać się winna przedmiotem osobnego referatu w ministerstwie oświecenia. Powinny powstać szkoły pielegniarek dla dzieci, hafciarskie, gospodarskie wyższe i niższe, wreszcie przemysłowy artystyczny i sztuki stosowanej, przy czem siły kobiece mogą odegrać i odgrywać ważną rolę, a właśnie przez rychłe zwrócenie uwagi na te szkoły dla ich możność zarobkowania, stworzy się nieraz potężne gałęzie przemysłu i otworzy nowe źródło bogactwa narodowego. Równocześnie wpoi się zawczasu przekonanie, iż kobieta, która chce zarobkować, nie musi wchodzić do filologicznych szkół średnich.

W stworzeniu wszystkich tych zakładów średnich i niższych, w najbliższej dobie organizacyjnej, Polska może chlubnie wyprzedzić inne narody, a w części przynajmniej za nimi podążać. Nie przeobrażajmy mężczyzn na kobiety, nie kobiety na mężczyzn, stwarzajmy szkoły, które przyniosą im jak najwięcej pożytku a myśleniu ich i upodobaniom nadadzą tok zdrowy i normalny.

Dr. Mieczysław Smolarki.



FRANCISZEK BRZEZIŃSKI.

Zasadnicza reforma wykształcenia muzycznego.

== (CIAĞ DALSZY). ==

A więc uczyć się grać na instrumencie lub śpiewać powinny tylko osoby muzyczne z natury, posiadające łatwość w zdobywaniu techniki i istotne zamiłowanie. Jeżeli dziecko umie występować czysto każdą melody, jeżeli słucha z zajęciem muzyki i okazuje chęć grania, nauczyciel może spróbować uczyć je grać na fortepianie, w krótkim czasie przekona się, czy dziecko jest dosyć muzyczne, aby grać rytmicznie, bez błędnego rachowania, aby spostrzedz się, gdy uderzy fałszywy klawisz, aby wygrać coś ze słuchu. Tylko takie dzieci muzyczne i pragnące grać, należy uczyć gry na fortepianie, ewentualnie na innych instrumentach, nie zaniedbując jednak w żadnym razie fortepianu; nie można być dobrym muzykiem (choćby amatorem), jeżeli się nie umie grać na fortepianie; jest to bowiem jedyny instrument, dający pełną harmonję, pozwalający

muzykować i poznawać muzykę bez pomocy innych. Lekkie gry na fortepianie (podobnie jak gry na skrzypcach, wiolonczeli albo jak lekkie śpiewu) są lekcamy techniki muzycznej i odbywać się powinny niezależnie od „lekcyj muzyki” czyli wykształcenia muzycznego. Uczący się grać, chociażby z góry uczynił postanowienie nie zostania artystą fachowym, tylko dytulantem, powinien starać się zostać „dobrym dytulantem” t. j. nauczyć się grać jaknajlepiej, jaknajbieglej, a więc, o ile możności uczyć się od dobrych specjalistów. Nauka dytanta tem jednak powinna się różnić od nauki wirtuoza że, nie stawiając bieглиości za cel, lecz za środek do uprawiania czynnie dobrej muzyki, dytulant powinien głównie dążyć do tego, aby biegle czytał nuty, rozumiał co gra, aby grał rytmicznie, we właściwym tempie, dobrze frazował, miał ładne uderzenie, aby mógł sam poznać literaturę muzyczną, aby mógł każdy utwór z nut wygrać; przedewszystkiem zaś powinien umieć grać na 4 ręce, akompaniować i grać w zespołach kameralnych; o ile ma głos, powinien też umieć czytać nuty głosem i móż śpiewać w zespołach wokalnych.

Naturalnie, chcąc się nauczyć grać biegle na fortepianie, trzeba w pierwszym okresie nauki uprawiać pilnie wszystkie ćwiczenia, które do tego celu prowadzą. Ale po zdobyciu pewnej wprawy nie należy już, jak to czynią obecnie wszyscy uczniowie szkół muzycznych, ćwiczyć godzinami jedną wprawkę, jeden tryb lub pasaż, grać miesiącami (jeśli nie latami) jedną etudę lub jeden „kawalek”, dopóki się go nie gra koncertowo—przyczem oczywiście brak już czasu na granie innych rzeczy, gdyż dytulant nie może zazwyczaj całego swego czasu poświęcić sztuce tak, jak ci, którzy się na wirtuozów kształcą. Pod kierunkiem dobrego nauczyciela powinien dytulant przestudować jaknajwiększą ilość utworów wielkich mistrzów, jak Bacha, Händla, Haydna, Mozarta, Beethovena, Schuberta, Brahmsa; nabierać przytem niemniejszej techniki, jak gdyby grał całemi miesiącami jedno i to samo; już sam „Wohltemperiertes Klavier” Bacha wyrobi mu wybornie technikę palcowa, a przytem nauczy go myśleć, słuchać, i grać polifonicznie. Potem może już sam, bez pomocy nauczyciela, poznać literaturę muzyczną, nie tylko fortepianową, ale wokálną, kameralną i sym-

foniczną; dzieła symfoniczne może grywać w układzie czterozębnym, opery z wyciągów fortepianowych (koniecnie z tekstem czyli głosami: do śpiewu), w czytaniu których i układaniu na fortepian bardzo szybko nabywa się wprawę. Może nawet nauczyć się czytać partytury orkiestrowe, co pozwoli mu poznać dzieła symfoniczne gruntownie, z ich instrumentacją.

Oto co może, co powinien umieć wykształcony dytulant, a czego dziś wielu fachowych muzyków nie umie. Wieluż to śpiewaków nie potrafił sobie nawet zaakompaniować na fortepianie, wielu wirtuozów nie zna historii muzyki a nawet literatury muzycznej poza swoim repertuarem? Wielu nauczycieli i nauczycielek fortepianu nie potrafił objaśnić, na czem polega forma sonaty lub rondo, kiedy żył Scarlatti albo Bach, z jakich instrumentów składa się współczesna orkiestra, jaka jest skala każdego instrumentu i t. d.

Można śmiało powiedzieć, że obecnie większość muzyków fachowych daleką jest od tego wykształcenia muzycznego, jakie tu proponowałem dla dytulantów, a nawet dla biernych amatorów muzyki i dla niemuzycznych. Otóż nie ulega chyba wątpliwości, że każdy artysta-muzyk, o ile na prawdę chce być muzykiem i artystą, a nie rzemieślnikiem mniej lub więcej utalentowanym, powinienby otrzymać wykształcenie muzyczne ogólne obok specjalnego wyrobienia w swoim fachu. Oczywiście dla kompozytorów i kapelmistrzów wykształcenie takie rozumie się samo przez się, a i dla krytyków muzycznych powinno stanowić *conditio sine qua non*, czyli warunek konieczny.

Przedewszystkiem zaś powinien powstać *nowy fach: nauczycieli muzyki*, nie mający prawie nic wspólnego z obecnym nauczycielstwem; w tem leży jądro całej sprawy, jej praktyczne rozwiązanie. Reforma wykształcenia muzycznego społeczeństwa musi się zacząć od reformy wykształcenia pedagogów, a raczej od wytworzenia całego zastępu pedagogów muzycznych zupełnie nowego rodzaju. Sprawa ta powinna być tedy w pierwszej linii zająć się wszystkie konserwatorya i szkoły muzyczne, stając się obok tego, czem są obecnie, t. j. szkołami dla wirtuozów lub kompozytorów, jednocześnie *seminaryami* dla pedagogów muzycznych nowego typu. Wieluż to z młodzieży, zapelniających na całym świecie konserwatorya muzyczne, zostaje naprawdę wirtuozami lub kompozytorami? Wieluż to z pomiędzy tych „skończonych” wirtuozów robi naprawdę karierę na estradzie lub na scenie? wielu z tych kompozytorów ma istotnie taki talent, któryby im dał głośne imię lub pozwolił żyć z kompozycji? Większość tej młodzieży skazana jest na pracę pedagogiczną;—i nie byłoby w tem nic złego, ani tragicznego: wszakże zawodowi pedagogicznemu oddają się i najwięksi uczeni i artyści z wielkim pożytkiem dla społeczeństwa, z prawdziwym zamiłowaniem i zadowoleniem wewnętrznym, często nawet z niemałą korzyścią materyalną. Ale w tym wypadku rzecz się ma inaczej: ze szkół muzycznych wychodzi obecnie cały zastęp chybionych

Początkom wszelkiej nauki gry na instrumencie lub śpiewu powinna towarzyszyć nauka *solfeggia*, t. j. nauka czytania nut głosem, oraz dyktando muzyczne, t. j. pisanie nut ze słuchu. We wszystkich konserwatoriach i szkołach muzycznych nauka ta powinna stanowić obowiązujący kurs przygotowawczy dla wszystkich uczniów (dotychczas tylko we Francji i w Belgii zostało to wprowadzone). W wielu krajach, a ostatnio i u nas, coraz częściej spotyka się w programach gimnazjów a nawet szkół niższych lekcje śpiewu zbiorowego dla dzieci, o ile jednak lekcje te polegają jedynie na śpiewaniu ze słuchu, to—jako umysłowanie—są bez znaczenia; zamiast tego należałoby wprowadzić naukę *solfeggia* i dyktando muzycznego; to ostatnie dla się stosować zwłaszcza w okresie, kiedy chłopcy, z powodu maczacy głosu, nie mogą śpiewać.

wirtuozów, zawiedzionych w swych nadziejach i traktujących zawód nauczycielski bez żadnego zapалу, z konieczności, dla chleba,—a co gorsza bez żadnego pożytku dla społeczeństwa, bez widoków lepszej przyszłości dla siebie. Jakż zapłał ma ich ogarniać, gdy za liche pieniądze uczą bębnić na fortepianie dzieci bez talentu i bez ochoty do nauki? Cóż to za męka słuchania takiego stukania w klawisze po kilka godzin dziennie! Jakż zresztą korzystać z takich lekcji dla uczących się i ich bliznich? Jakże się zdziwić, że są ludzie, którzy muzykę domową, a w szczególności fortepian, uważają za plagę ludzkości.

(D. c. n.).



Czy tak będzie w wielu dworach?



Znam taki dwór, który umie godzić pięknie stare tradycje z nowoczesnymi wymaganiami kapitalistycznej epoki. Rzuci się to w oczy w lecie gdy dwór ten, rozszerza swe ściany na przyjęcie gości, niewidywanych w innych porach roku. Kogo tam niemal! A zarazem obecność tych, co korzystają z tej gościnności, jakże wymownie świadczy o obywatelskim uświadomieniu mieszkańców białego, obszernego dworu, zalicznie schowanego w cieniu prastarych lip, dębów i jesionów.

Niezwykła galeria typów w letniej porze widuje się w tej starej, ziemiańskiej siedzibie. A więc jest tam powstaniec z r. 1863, który ze starym dziadusiem, co to jeszcze rok 1831 pamięta i chętnie o nim gwarzy, głównie rozmowy długie wiecie i po parę godzin dziennie, zajęty pilnie w bibliotece pana domu, katalog jej sporządza i stare kroniki rodzinne porządkuje.

Jest stateczna wdowa, była sąsiadka, przez lekkomyślnego męża hulakę, pozbawiona majątku, obecnie nauczycielka muzyki, która pani domu zaprosiła na wypoczynek letni, a ta się chętnie zgodziła pod warunkiem, że będzie pomocą w dużem gospodarstwie. I w prostym fartuchu skrośniętym osłaniającym szarzaną na deszczach w wielkim miesście—suknie, krzą się po kuchni, śpiżarni, kurnikach a parę godzin popołudniowych spędza na czytaniu głównie wartościowych książek — przyjać, co z lat młodych a pani tego domu, czasem coś zagra, czasem szara godziną zaśpiewa, a najczęściej gawędzi serdecznie z tą, która pamięta dobrze inną szczęśliwszą jej przeszłość i z przedwznią intuicyą kobiecą, pozwala jej karmić się piękną złudą, że nie się nie zmieniło, że one są po dawnemu sąsiadkami o miedze...

Ale nie tylko siwy dziadunio i pani domu ma na lato swoje towarzystwo.

Ma je i pan dzieciz. Ten lubi zmianę, więc jednego roku zaprasza sobie literata lub malarza i zależnie od rodzaju twórczości takiego syna Apollina, dwór w X... nabiera odpowiedniego kolorytu i plynie pod banderą, takiego lub innego zainteresowania. Dzieciniasąpokrzywdzone, panice przywieł z sobą kolegw, pa-

nienki koleżanki. Rzecz prosta, że są to dzieci takich rodziców, których nie stać na wyjazd na lato z dusznych murów wielkomiejskich.

Ale co jeszcze piękniejsze, że w tym dworze stale chowa się dwoje sierot, chłopiec i dziewczynka, a myśli się o tem, aby i ci wychowawcy mieli jakąś przyjemność i z przylutków dla sierot lub z burz warszawskich bierze się dwoje sierotek dla ich towarzysztwa i pomocy w zajęciach, jakie tamci mają wyznaczone.

Pomyślano i o tem, żeby na lato pannie służące do pomocy i towarzystwa sprowadzić pracownice igły, panienkę bladą jak oplatek... Nadto musi być rok rocznie i jeden robotnik z rodziny. Zależnie do specjalności jego, pomaga w kuchni lub stelmazni dworskiej, a dzieci jego pół dnia pracują w ogrodzie. I tacy, to goście na dworskim chlebie, nie wymyślani ale zdrowym i obfitym, przebywają od czerwca do końca września. Wszystko są to ludzie pracy, lub tacy, których społeczeństwo w swoich instytucjach utrzymuje. A wszyscy ci ludzie, są zadowoleni, bo za gościnę wywdzięczają się pracą umiarkowaną, do ich uzdolnienia, wieku i umiejętności zastosowaną. Zajęcia nigdy nie brak, a po pracy zasłużony odpoczynek jest tem miłszy.

— Jakże miło i wesoło u sąsiadów w czasie lata, zdziwia się goście przybyli w odwiedziny z sąsiedztwa.

— U nas lato jest porą, w której najkulturalniej żyjemy i najintensywniej pracujemy umysłowo: w bardzo znacznym stopniu zawiązujemy to naszym przemysłom „letnikom”, — odpowiada z pogodnym uśmiechem pani domu, ogarniając rozradowanym wzrokiem imponujących rozmiarów stół w jadalnym pokoju, i dodaje tonem usprawiedliwienia.

— Boję się naruszać tradycje naszego rodu. W tym domu zawsze ściany rozszerzały się dla gości, a przy każdym posiłku stawiano nadliczbowe nakrycie, tak jak to dotąd stałe nasz służący robi.

Innym razem ktoś z przyjezdnych sąsiadów dalszych, uchwytywszy rzadki moment, kiedy nie było nikogo z letnich „rezydentów”, — zapytał konfidencyjnie gospodarstwa.

— Nie pojmuję, jak w dzisiejszych czasach mogą sobie państwo pozwolić na tak liczny zastęp letnich gości, — przecież to nielada koszt i kłopot.

Na czerstwych, pogodnych twarzach państwa, pojawił się uśmiech pobłażliwy a mądry.

— Kłopot mały bardzo, przyjemność— duża, a koszt żaden, bo nasi goście zarabiają na swoje utrzymanie pracą w ogrodzie, w polu, pasiecie, chmielniku, w mleczarzni, przy dozorowaniu robocizny i t. p. Niech pan wierzy, że jak zimą obliczymy skrupulatnie pracę naszych miłych gości i koszt ich utrzymania, bywają nadwyżki, rzecz prosta nieznaczne i nie dla wszystkich one wypadają, — i te, są na rok przyszły wypłacane, naszym gościom-pracownikom letnim. W tym roku naprzykład nasi goście letni postanowili dłużej pracować, a to dlatego, że nabrali od nas

plótka szarego na codzienne odzienie, i chcą go odrobić pracą.

Sąsiad kiwa głową z podziwem.

— Robisię co można, aby wyszkaćlepiej, ten kawał ziemi niż to mogłobici moi przodkowie, a i bliżnim chciało by się dać taki ratunek, który nie jest łaską ani filantropią, bo tego ambitniejszej jednostki nie znoszą. Reszty dokonała moja pani, która jeszcze za panieńskich czasów miała żylkę do pracy społecznej, więc nie chcąc aby mi z domu w szersze światy zbyt często uciekała, wolałem jej pomóc do utworzenia takiego lokalnego warsztatu pracy społecznej.

— I powiadzasz sąsiad, że się na tem nic nie traci?

— Rachunkami możemy tego dowieść sąsiadowi, — oświadcza poważnie gospodarz.

Rozmowę przerwał dzwonek. Gospodarstwo pożegnali goście, wymawiając się obowiązkami i zostawili go przy stosie świeżych gazet i książek.

Za chwilę wszedł do pokoju jeden z gości malarz i przedstawivszy się zapyta swobodnie.

— Mam czas w tej chwili, jeśli pana interesują bażgraniny malarskie, może przejdziemy do mojej pracowni, w starej oranżeryi a zobaczy pan, co tu już plótka napuśla.

Sąsiad, idąc starannie utrzymanym szpalerem grabowym, słuchał błyskotliwej gawędy malarza i w duchu postanawiał zorganizować podobne letnisko u siebie.

Spróbować nie zawadzi.

Stefania Bojarska.



O Teatr Ludowy.

I.

Przez długie lata t. zw. teatr ludowy uchodził za najniższego typu siedzibę sztuki teatralnej, za przeciwieństwo wszelkich postulatów artystyzmu, za pierwszą lepszą rozrywkę, którą raczy się biedniejsza ludność miasta, stosownie do jej poziomego smaku artystycznego. Teatr ludowy był zepchnięty do rzędu niemal bud jarmarcznych, gdzie nie chodzi o kształcenie smaku estetycznego, lecz jedynie o wyzyskiwanie kieszeni naiwnych tłumów. Opinia ta panowała zresztą nie tylko u nas, lecz również i w innych krajach. Jak wiadomo, na repertuar tych teatrów przeważnie składały się t. zw. sztuki ludowe, pisane przez ludzi pozbawionych talentu i wszelkiej kultury umysłowej i artystycznej, a obsada i wystawa tych sztuk urągały najniższemu wymaganiom kultury teatralnej. Tymczasem w nowszych czasach wraz z powstawaniem prądów reformatorskich w dziedzinie teatru, wraz z obudzeniem się zamiłowania szerszej publiczności do teatru i coraz większym upowszechnianiem się hasła demokratycznych w różnych krajach poczęto zastanawiać się nad utworzeniem placówki teatralnej, która mogłaby zaspakajać potrzeby artystyczne jaknajszerszych

mas. Przy końcu 19-tego w. i na począt-ku bieżącego stulecia coraz częściej da-wały się słyszeć głosy, nawołujące do kształcenia estetycznego mas ludowych, do oparcia kultury narodowej przedewszyst-kiem na poczuciu artystycznym szerokiej warstw ludowych. Jeżeli tym ultraeste-tycznym teoryom dziś zarzucą się i słusznie zresztą jednostronność, to jednak trzeba pamiętać, że pobudziły one wiele jedno-stek do szerzenia wśród mas kultury est-etycznej i przyczyniły się do stworzenia niedanej placówki, powołanej do uświa-damiania tłumów w kierunku artystycz-ny. Mam tu na myśli nie tylko spęcal-nie teatr, lecz również sztukę stosowaną. Teatr jednak, jako czynnik kultury arty-stycznej i umysłowej, powinien w akcji kształcenia estetycznego mas zająć miej-sce naczelne. Tak przynajmniej zadanie teatru ocenia się w Niemczech i Francji. Największe teatry ludowe w Niemczech znajdują się w Berlinie, a wśród nich na czoło wysuwa się t. zw. „Volksbühne“ na placu Bülowa, położonym w dzielnicy ro-botniczej. Teatr ten, istniejący od r. 1914, został zbudowany według najnowszych wy-magań sztuki architektonicznej, a pod względem urządzeń i wyglądu estetycz-nego nie ustępuje żadnemu teatrowi w Ber-linie. Począwszy od bardzo pomysłowe- go i artystycznego oświetlenia w westibu-łu, a kończąc na przepięknej w swej pro-ście widowiny, zbudowanej z ciemno-czer-wonego polerowanego drzewa, teatr ten zadowolilo może smak najbardziej wyra-fnianych pod względem artystycznym teatromanów. Po otwarciu tego teatru, je-den z najwybitniejszych krytyków berliń-skich, Zygfried Jakobson, redaktor tygodni-ka „Die Schaubühne“ pisał, iż chyba na całym świecie niema sceny, posiadającej tak doskonałe środki techniczne, jak no-wopowstała „Volksbühne“. I właśnie ta-kie teatry tworzy się dla szerokiej mas ludowych! Przechodzę teraz do repertua-ru i wykonania. Z początku kierownictwo powierzono Emilowi Lessingowi, byłemu reżyserowi w słynnym teatrze Lessinga. Nieudolny dobór sztuk, podrzędna obsada i licha wystawa, sprawiły, iż teatr ten, za-powiadający z początku jak najlepsze re-zultaty, po pewnym czasie stał się przed-miotem napadów ze strony prasy i coraz mniej gromadził widzów. Kiedy zaczęła się wojna, zdawało się, iż podwoje jego trzeba będzie zamknąć. Z ratunkiem jed-nak pospieszył Reinhardt i zaproponował objęcie kierownictwa wraz z zupełną zmia-ną zespołu i repertuaru. Gorsci aktorzy zo-stali usunięci, a natomiast postanowiono, iż role odpowiedzialne będą powierzone najprzedniejszym artystom Teatru Nie-mieckiego (Deutsches Theater). Nadto projekty dekoracyjne i kostyumowe miały być wykonywane przez najwybitniejszych architektów i artystów-malarzy. Repertuar tak zreformowanego teatru poczęły wypeł-niać sztuki Hauptmanna, Goethego, Schi-lera, Lessinga, Ibsena i innych, a w ro-lach głównych popisywali się tak wielcy artyści, jak Bassermann, Wegener, Krauss, Ferd. Bonn, Gertruda Eysoldt i w. in. Od tej chwili teatr ten poczęł cieszyć się naj-

większym powodzeniem, a każda premiera stawała się w Berlinie prawdziwym ewe-nementem artystycznym.

Leon Pączewski.



Z LISTÓW DO „BLUSZCZU”.



Kielce.

Lipiec.

Życie nasze, jak zapewne i w całej Pol-sce, płynie gorączkowo podniecone. Nerwy, jak cięciwa, napięte, a w pośród czynów dodatkich nie brak i ujemnych.

Wiecej zrównoważona część społeczeń-stwa oddaje się temu, co uznaje za po-dawalną upragnioną przyszłość, to jest sprawom kulturalnym, część znowu zawzięcie politykuje, tworząc się przeróżne orientacje i horoskopy, a część ta społeczeństwa to istni szkodnicy, którzy nie budują, lecz za-mę, lub upadek moralny wprowadzają. Naj-bolesniejsze to to, że tacy szkodnicy wpływ wywierają na uczącą się młodzież, opłatają ją w swe siła, zabijają w niej poczucie prawdy i honoru, prowadzą na fory łez i przewroty. Ze zaś taka robota bywa zwykle podziemna, tajemnicza, długo się ukrywać może, gdy zaś przypadkowo na jaw wyjdzie, moc złego już wyrządzić zdążyła, łamiąc, lub spazając to, co każdemu naró-dowi najdroższe — młode pokolenie.

Nie brak jednak u nas i faktów pocieszą-cych, nie brak jednostek, pracujących gorliwie dla młodzieży i opieką ją otaczających. Nieda-wno np. urządzono w Kielcach stowarzysze-nie gimnastyczne „Sokół“, którego reguła-mi obowiązują wszystkie polskie związki sokolskie. Piękny jest cel i piękne zasady tego stowarzyszenia, to też młodzież się garnie, cwieżąc fizycznie i duchowo. Zwią-zek katolicki młodzieży rękodzielniczej pod przewodnictwem swego prezesa, pro-fesora Pawłowskiego, zwiędzał Kraków. Po-za wszystkie, drogie polskiemu sercu, pa-miatki i przyjmowany był na audyencyj przez księcia biskupa Sapiechę, który po udele-niu błogosławieństwa wskazał, w przed-mieniu swem, młodzieży potrzebę podniesie-nia mieszczaństwa polskiego przez dostar-czenie dzielnych i niezwichłych rękodzielni-ków, kupców i przemysłowców.

Uznawo i uczennie wśród śródnych w Kielcach dawali kilkakrotnie przedsta-wienie na dochód wpisów dla niezamożnych ko-legów i koleżanek z bardzo dobrymi wy-nikami materialnymi, przy przepelnionej sali. Młodzież doskonale wywiązała się z zadania, a niektóre jednostki wykazały nie tuzinko-we zdolności.

Przedstawienie w teatrze świećilo pust-kami, co jest dowodem obojętności i lekce-ważenia spraw oświatowych przez miejscowe społeczeństwo. Na miasto posiadające prze-szło 20 tysięcy ludności *chrześcijańskiej* po-damy członków Macierzy około 800. Jest to ironja wobec potrzeb Macierzy. Społeczeństwo nasze choruje na chroniczną nie-moc „solidarności i zrozumienia własnego in-teresu“. Nawet wobec tak popularnej, upragnionej nieodzownej instytucji jak Macierz, tu, gdzie opodatkowanie się na rzecz szkol-nictwa powinno być *ogólne i dobrowólne*, je-dnostki tylko płacą, gdzie względnie dużo, inne mniej, a jeszcze inne mało, lecz stale i chętnie — reszta zachowuje się obojętnie, lub niechętnie nawet.

Tyle jest działyw rwącej się do nauki, zdolnej, chętniej, której na przeszkodzie sta-ją środki materialne, czy wieść ich będzie winą, gdy wyrosną tak, jak byśmy nie pra-gnili, gdy zamiast pociechy i chluby, wstyd

nam przyniosą? I co począć, aby cel dobry *wszystkim* był drogi? aby go *wszyscy* popie-rali i wspomagali, bo to jest wszak polak z natury dobry i ołdarny, tylko... tylko... wy-trwałości w nim mało, skupienia w nim mało i systematyczności, w przeciwnym bo-wiem razie składałyby ofiary *wytrwałe* z my-ślą, że daje sam *sobie*, bo swemu narodowi, swej przyszłości i bez przypominań i za-chęceń, w czasie i w ratach, do jakich się zobowiązał.

Tak, *ogólny podatek* na Macierz Szkolną powinien być wprowadzony, bodajby kilka groszy miesięcznie, ale od *wszystkich*, do-piero wtedy szkolnictwo zakwitnie! Nie bę-dzie głodnych i ołdarnych dzieciaków, nie bę-dzie braków szkół początkowych, za to zabraknie niepojętych, szkodników, próżnia-ków i samolubów.

Związków niewiast katolickich, pracują-cemu wytrwale, ubywa przewodniczącą p. Ireną Walnowską. Związek w jej osobie traci wiele: serdeczne oddanie się jego sprawom, prawdziwą dobroć i uczynność i tę, tak pożądaną, a miłą pogodę ducha w po-łączeniu z energią i pracowitością.

Ubył nam także wikaryusz parafii 8-go Wójciecha, ks. Józef Marszałek. Ks. Mar-szałek tak duży po sobie zostawił jako ro-zumny kapłan, dzielny działacz społeczny, niezmordowany pracownik nad ludem, któ-rego sam jest synem.

K.



Głosy Czytelniczek.



W № 26 pani Z. G. porusza kwestyę zdrowotności pensyi żeńskich. Otóż i ja muszę cośkolwiek dodać.

Miała być tak szczęśliwem miejscem, że posiada VIII-klasową pensyę w nader zdrowotnem położeniu. Pensya p. Ant-o-niny Mrozowskiej mieści się w własnym, spęcalnie na to zbudowanym dwu-piętrowym gmachu, położonym wśród ogra-dów. Prześliczny ogród kwiatowy, dziki i owocowy nader starannie utrzy-many. Ogród ten otoczony jest murem, który go chroni od szkodników; zdala są-siaduje z polem a w odległości widnieją lasy.

Jak pensya tak i szkoła VIII-klasowa mekka jest w tychże samych doskonałych warunkach. Za szkołą w oddali lasy, otacza ją ogród warzywny, gdzie chłopcy mają swoje zagonki, które uprawiają bar-dzo starannie. Tylko przez wąską drogę przed szkołą jest obszerny park miejski, który drugą stroną sąsiaduje z pensyą. Przed wojną na pensyi był bardzo sta-rannie utrzymany internat, obecnie z po-wodu nadzwyczajnej drożyzny nie chcą podejmować tyle trudu. Trzeba szukać stancyi, co też wiele osób uskutecznia, mając dużo krewnych w miasteczku, któ-rym powierza swoje pociechy. Toż samo czynią z chłopcami, a w dodatku przy gi-mnazjum jest bursa, gdzie mieści się około 40 pensyonarzy.

Z. M.



WACŁAW RÓGOWICZ.

CHÓR PIELGRZYMÓW.

Dramat w 1 akcie.

(10)

TONIA (*drży*). Co się stało z mordercą?... KALEŃSKI. Po wyroku niewinniającym zginął na razie bez wieści...

TONIA (*przerzyna mu z tragiczną mocą*). I ojciec mógł zginąć niepomoszony!...

KALEŃSKI. Nie. Los się z zabójcą policzył. Żył już potem niedługo.

TONIA (*z ulgą*). Umarł... (*Naraz dziwnym głosem, natarczywie*). Czy pan na pewno wie, że umarł?...

KALEŃSKI (*swobodnie*). Jakże? Wszystkie pisma w kraju podały te wiadomości: utonął na Atlantyku podczas katastrofy statku... jakże on się nazywał?... dziwaczna jakaś nazwa... tyle lat, wyszło mi z pamięci.

TONIA. Mniejsza o to. (*Pauza. Z balem*). Dlaczego Andrzej nie odsonił mi tej tajemnicy? (*Zamyśla się*).

KALEŃSKI. Przypuszczam, że nie chciał zamącać ustalonego już w duszy dziecka wspomnienia o ojcu temu niepotrzebnym odkryciem. I słusznie postąpił, nie wyjawiając okoliczności śmierci ojca pani, bo musiałby odsonić przytem różne drastyczne szczegóły tego dramatu. (*Pauza*). Ja Andrzeja rozumiem.

TONIA (*zgnębiona*). Póki byłem dzieckiem—tak. Ale czemuż trwał w tej powściągliwości wobec mnie, dojrzałej?... Czy córka nie powinna wiedzieć? (*Pauza*). Proszę, niech mi pan opowie wszystko, co pan wie o tej tragedii. (*Stucha zboląta, lecz spokojna*).

KALEŃSKI (*po chwili*). Dobrze. Streszczę tę bolesną dla pani historię w kilku słowach... Zastrzegam się przytem, że znam ją jedynie z opowiadań, bo gdy dramat ten się rozegrał, byłem już na studiach zagranicą i do kraju wpadłem na krótko coś w parę miesięcy potem. Właśnie wtedy trafiłem na wystawę pośmiertną dzieł ojca pani, o której wspomniałem. (*Pauza*). Otóż, Borski, który miał ciągle nieporozumienia z ojcem pani na tle rywalizacji zawodowej, na dobitkę zaczął starać się o względy osoby, z którą ojciec pani, owdowiawszy tak młodo, żył już kilka lat. Wreszcie uwiódł mu kochankę. Porzuciła ojca. Zrozpaczony człowiek, spotkawszy w miejscu publicznym Borskiego z nią, strzelił i zranił go lekko. Borski też dobył wtedy rewolwer i położył rywala trupem. Sąd uniewinnił zabójcę, ustalivszy fakt napadci i koniecznej obrony.

TONIA (*boleśnie*). Uniewinnili? Czy i ludzie uniewinnili mordercę?

KALEŃSKI. Rzecz dziwna, że i opinia była po stronie zabójcy. (*Pauza*). Oczywiście, sady były podzielone.

TONIA (*nieswoim głosem*). A nie wie pan, gdzie Andrzej wtedy bawił?

KALEŃSKI. Nie wiem. Poznałem go we Włoszech w jakie dziesięć lat potem.

(*Z głębiokiem przekonaniem*). Ale mogą pani zaręczyć, że Andrzej nie był w dramacie ten wpłatany w żaden uboczny nawet sposób. Wśród różnych nazwisk, jakie łączono z tą sprawą, która wywołała wrzenie w świecie artystycznym, nazwisko Andrzeja (*akcentuje*) nigdy wymieniane nie było. Pamiętam to tak dobrze, że mógłbym na to przysiąc.

TONIA (*do siebie*). Dziwnie. Jednak... coś tam... (*Z głębiokiem westchnieniem ścisła mu dłoń*). Dziękuję panu.

KALEŃSKI (*zafasowany*). Zmusiła mnie pani.

TONIA (*łagodnie, lecz stanowczo*). Nie mówmy już o tem. (*Pauza. Patrzy na zegarek*). Cóż długo nie widać Sędzimira. (*Od ogrodu wchodzi szybko SĘDZIMIR i staje w progu zdelonowany*).

SĘDZIMIR (*stentorowym głosem, patrząc na KALEŃSKIEGO*). Wszelki duch Pana Boga chwali!

TONIA (*swobodnie*). O wilku mowa...

KALEŃSKI. A jawia się lew ryczący... SĘDZIMIR (*uścisnąwszy rękę Tonii, wita się z leżącym wciąż na sofie KALEŃSKIM*). By dostać się na zęby najgorszej bestyi—człowieka.

KALEŃSKI (*melancholijnie*). Stępiły jej się już kły, stępiły.

SĘDZIMIR. Próbuja jednak kąsać jeszcze... z nalogu.

KALEŃSKI (*przechy głową*). Wasza skóra za gruba na moje zęby.

SĘDZIMIR (*podrzucając*). Może jeno ząbk już za kruche. A moja gruba skóra, kto wie, czy się nie zda jeszcze komu (*mimowoli rzucając okiem na Tonie*), choćby na tarczę.

KALEŃSKI. Ho, ho! Mocniście jakos dzisiaj w gębie, rycerzu.

SĘDZIMIR. Okradam was z waszej cnoty, bo widzę, macie jej za dużo.

TONIA (*wchodząc między nich*). Ledwie się zobaczyli, już się tną. Ślicznie! Dosyć już. Proszę przestać... naprawdę.

SĘDZIMIR (*odzykując zwykłą swobodę*). Nie zrobimy sobie krzywdy, niech się pani nie obawia. Znamy się, jak tyse konie.

KALEŃSKI. Wypraszam sobie takie porównania. (*Przeciągając ręką po włosach*). I pod tym względem, chwalić Boga, nie mogę iść z wami w paragon.

SĘDZIMIR. Wiadomo, jakie głowy nie łysieja...

TONIA. Znowu? Prosiłam.

SĘDZIMIR. Prawda. Zawieszenie broni na rozkaz najwyższy. (*Zwraca się nagle do Tonii*). Andrzeja nie ma w domu?

TONIA (*wymyającą, półgłosem do Sędzimira*). Książę Gesso, zamiast przybyć tutaj, wezwał Andrzeja do siebie w ważnym interesie. Spodziewam się, że lada chwila Andrzej powróci.

SĘDZIMIR (*zaniepokojony, do obojga*). Dawno państwo tak tu siedzą?

TONIA (*ze zdumieniem, śmiejąc się*). Cóż to za indagacja?

KALEŃSKI (*jednocześnie*). Czasu swego nie mierzę na zegarku. Nie używam tego przyrządu. Nie wstrzymam czasu, ani go naprzód nie popchnę.

SĘDZIMIR (*patrzy bezzadanie to na Tonie, to na KALEŃSKIEGO*).

TONIA (*i. w.*). Co pan, panie Janie, tak oczy wytrzeszcza?

KALEŃSKI (*patrząc w sufit*). Przygląda się mojej myśli.

SĘDZIMIR (*macha ręką z rezygnacją, mruczy*). A, pal dyabli... (*Westchnięciem, do Tonii*). Chciałbym powierzyć szanownej gosposi pewną tajemnicę—przetarlibyśmy coś chętnie; do kolacyi daleko.

KALEŃSKI (*obracając się ku Sędzimirowi*). Nareszcie ujawniliście treść waszej jawni: Jem—więc jestem.

TONIA (*strofując do KALEŃSKIEGO*). Pan jest nieznoszny. (*Do Sędzimira*). Zaraz panu służę. Jest psztet, ser, wino... (*Wychodzi na lewo: za nią rusza Sędzimir*).

SĘDZIMIR (*wychodząc*). Ależ, niech pani się nie trudzi... sam trafię, przyniosę, co potrzeba... (*Rzeka słów ginie. Po chwili wchodzi SĘDZIMIR z małym stolikiem i serwetką, za nim TONIA z nakryciem, butelkami i t. d. Krzątają się*).

SĘDZIMIR. Poco to było dawać służącemu urlop dla głupiego pogrzebu—kiedy tutaj tak jest potrzebny? Musimy za tego durnia drzwi otwierać, nakrywać...

TONIA. Też pan?... Przecież mu matka umarła. Musiał pojechać.

SĘDZIMIR. Oj-oj, czuły synek! Paweł? Śmiechu warte.

TONIA. Sprawa schedy, jeśli to pana więcej wzruszy.

SĘDZIMIR (*zabiera się do jedzenia*). Ani trochę. Jego psi obowiązek być tu, gdy jest potrzebny. Jesteście za dobrzy dla tego hyla. (*Nalewając sobie wino, do KALEŃSKIEGO*). Napijcie się: dobrze wam zrobi.

TONIA (*protestując głośnie, do KALEŃSKIEGO*). To wszystko nie dla pana. Ale moje herbaty? Na maszynie elektrycznej będzie momentalnie...

KALEŃSKI (*przechyla się i czuje Tonie w rękę*). Dziękuję serdecznie. Czeka na mnie w domu moja baba z mlekiem. (*Stada na sofie*). Trzeba mi się zbierać w drogę: wieczory są chłodne.

SĘDZIMIR (*z pełnem jedzenia ustami*). Zostaliście. Będzie tu niedługo wspaniałe widowisko. Pochód z pochodniami na cześć mistrza Andrzeja. Uczniowie Akademii. Śpiewy. Pychał (*Podczas tych słów Tonie marszczy się i chce go wzrokiem pomszrać, lecz Sędzimir w zapale nie czuje tego*).

KALEŃSKI (*z cierpkim uśmiechem*). Ach, tak?... Żałuję, że nie będę mógł wziąć udziału w złożeniu holdu. (*Pauza*).

SĘDZIMIR (*przerzuca jedzenie i patrzy niechętnie na KALEŃSKIEGO*).

KALEŃSKI (*zmienionym przez hamowane zaburzenie głosem*). Sędzimir, pomóżcie mi wstać i ubrać się.

SĘDZIMIR (*zimno*). Tak. To jest święto dla przyjaciół Andrzeja.

TONIA (*nie patrząc na KALEŃSKIEGO, podchodzi i ścisła krótko rękę Sędzimira, potem oboje wynoszą stół z zastawą nalewo do jadalni*).

KALEŃSKI (*sam, ścisła skronie rękoma. Chrapliwie*). Przekleństwo! (TONIA i SĘDZIMIR *wnet wracają na scenę*).

SĘDZIMIR (pomaga Kaleńskiemu wstać, narzuca mu pelerynę, podaje kój i kapelusz).
Odprowadź was do fiakra. (Po chwili).
Odwołuję do domu.

KALEŃSKI (siłując się na spokój). Za drugie dziękuje. Pojadę sam.

SĘDZIMIR. Jak chcecie.

KALEŃSKI (idzie prawie o własnych siłach w stronę Toni, która, tyłem odwrócona do widza, stoi oparta o drzwi od tarasu. Po kilku krokach staje. Głuch). Żadnego leżałem. Muszę na chwilę uisnąć. (Głośniej). Pani pozwoli?... (Siada na fotelu koło kominka).

TONIA (odwracając się, spokojnie). Proszę pana. Niech pan odpocznie. (Bije dzwiatełka na zegarze witecznym).

TONIA. Przepraszam panów, lecz muszę się przebrać na tę uroczystość. (Po chwili do Sędzimira). Niech pan spieszy do swych obowiązków inspicjenta. Ja sama ulokuję pana Kaleńskiego w doróże. (Widząc ułanianie się Sędzimira, stanowczym tonem, patrzając na Kaleńskiego). Tak. Chcę jeszcze parę słów panu powiedzieć, gdy wrócę. (Do Sędzimira, swobodnie). Może pan, panie Janie, da tymczasem naszemu gościowi jakie pisma do przejrzania, czy książkę. I zaraz potem proszę się ulotnić. Ja za pięć minut będę gotowa.

SĘDZIMIR (półgłosem). Poczekam.

TONIA (stanowczo). Nie. (Zegnając go ruchem głowy). A bidentó.

SĘDZIMIR. Au plaisir.

TONIA (idzie wewnętrznymi schodami do siebie, na górę).

SĘDZIMIR (stając przed Kaleńskim). Wstydziłbyście się.

KALEŃSKI (zwiesza głowę). Nie dziwicie się... Gdybyście byli w moim stanie...

SĘDZIMIR (ze współczuciem). Rozumiem. Ale... trzeba znosić swój los mężnie.

KALEŃSKI (kryjąc twarz w dłoniach). Łatwo powiedzieć.

SĘDZIMIR (kłapiąc go przyjaźnie po ramieniu). No stary nie rozkłamuj się tylko nad sobą—to wszystko łatwiej znieść bez egzaltacji. (Żywo). Nie myślcie o tem. Zanim Tonia wróci, dla odzwyczajenia myśli przerzućcie sobie ilustracje, zobaczcie, co się dzieje na świecie. (Zmierzając do stolika z piśmami). Są tu świeże.

KALEŃSKI (pozornie spokojny). Tak. Trzeba zająć głowę czem innym. (Po chwili). Stuchajcie no: tyle razy obiecywałem mi przynieść do studyum Andrzeja o budowlach drewnianych—pamiętacie? Dajcie mi to teraz. Wezmę ze sobą, a... Toni będzie może przyjemnie, gdy w moich rękach tę pracę zastanie. Udobrucha się.

(D. c. n.).

Sprostowanie. W poprzednim numerze wkładła się omyłka drukarska, która niniejszem sprostujemy: na str. 225, spłata 2 ga, wiersz 10-ty od góry, zamiast: *nie* powinno być: *już*.

WSPOMNIENIE.



*Nam mego życia jasne ognisko
Los rzuca groźny cień...
Widzę, jak cicho dogasa dzień,
Jak słońce chyli się nisko...
I do mych dawnych wierzeń i śmierci
Śmierci się przysnuwa tak blisko...*

*Ten dawno znany, dobry mój gość
Nie straszy mnie i nie trwoży...
Żyłem, wpatrzony w promienie zorzy
I mam już wszystkiego dość...
Poznałem rozpacz, pustkę bezdroży,
Ból ludzki i ludzką złość...*

*Skrzypi mi zóraw u wiejskiej studni,
Szumi rodzinnych wiatrów ślad,
Dawny odzywa smutek i ból,
Czem gwałtniej wokoło i ludniej,
Wstaje sen—w świecie zgubiony kul—
Sen letnich, wiejskich południ...*

*Duszę oczyszcza z posępnej rdnicy
Wiatr wspomnień rzeki i święte,
Niesie mi z mojej rzeki wybrzeży
Wonie, poszumy i sny...*

*Jak kwiat—me serce wędrujące leży,
A z oczu płyną łzy...*

Tadeusz Kończyo.



ZOFJA WOJNAROWSKA.

AMETYS.



— Pani tam nie była...

— Pan się myli. — Ja tylko nie byłam tam z panem, lecz jeśli wola, mogę go wziąć ze sobą i pokazać ową czworokątną komnatę we wnętrzu Arusowej piramidy, smokate, która była miejscem strasznej śmierci Ametys.

— Chodźmy.

— — — — —
— Jaka noc duszna, chociaż przezroczysta.

Pelny księżyc na zachodzie podobny jest do miedzianego łona pięknej nibujki-blyszczy, a światła na ciemności nocy nie sieje; a niebo jest szafirowe jak tajemnica. — Pustynia patrzy na nas.

— Dwadzieścia wieków, powiedziałaby Napoleon, ale my przecież nie idziemy zdobywać.

— Piasek smęci się kolorem ochry. Wiatr milczy.

— Dusznosc i niepokój opanowały pana? To nie, to zawsze tak w pustyni o tej porze i ja już przywykłam... Pójdziemy tu Aleja Sfińskows. Widzi pan te wierchołki piramid w oddali? Idą równolegle, To ulica w wielkiem mieście umarłych.

— Pani tu jest jak u siebie w domu.

— Aleja Sfińskows ciągnie się dość długo, więc zanim dojdziemy do piramidy Arusa, opowiem panu przedwstępne dzieje Ametys. Niech mnie pan weźmie pod ramię, piękny panie Danielu. Dziwne ma pan imię, ale ono odpowiada wyrazistości pana oczu i ust i tej świeżości leśnej, jaką pan ma w sobie.

— Pani... Nie jestem-że w tej chwili Danielem w lwiej jamie?

— Och, jakąż skromnością! Ja to raczej obawiał się powinienam. Lecz wróćmy do Ametys. Żył za czasów XI-ej dynastyi—Panu się wydaje, że to bardzo dawno, nieprawdaz? lecz te Sfińsky są innego zdania.

Ametys była córką Faraona i miała być żoną Faraonowego syna. Piękna była Ametys. Ciało miała złocisto-różowe i delikatne, jak dojrzewająca brzoskwinia, włosy czarne, aż prawie szafirowe, ciężkimi warkoczami zdobiły jej kształtną głowę; usta miała pełne, krwawą gracie koralową i nieopowiadanie cudne oczy. Bo wyobraź pan sobie, że były to oczy zupełnie błękitne, aż przejrzyste i stanowiły taki kontrast z karnacją jej ciała i kolorem włosów, że dreszcz przebiegał; działało to na nerwy. Ametys miała zostać żoną następcy tronu, lecz los chciał inaczej.

Narzeczeni wzrosli razem i kochali się po bratersku bardzo, a myśl, że kiedyś połączą się na wieki, była im radosną. Lecz los chciał inaczej...

Już się aleja kończy, teraz musimy się przedostać za mur, okalający piramidę. Cóż ja mówię? przecież tego muru niema już dawno...

— Pani ma dobrą pamięć...

— Jak czasem... naprzykład pan mi jestes zupełnie obcy, choć wiem, że brałeś udział w nieszczęściu Ametys.

— Dajmy pokój żartom!

Trzeba przeskoczyć tę szczylinę. Niech mi pan poda rękę.

— Dziękuję. Jesteś pan zręczny jak linoosk. Dziękuję. Już teraz stoję zupełnie pewnie. Chodźmy po schodach w górę, później zestąpimy w głąbie.

— Nawet do piekła, jeśli pani będzie Beatryczą.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie, ale niech pan nie przerywa prądu w latarnie; droga jest trochę stroma i często w stopniach kamieni brakuje. Czas uczynić swoje. Lecz komnata, do której zejdziemy, jest prawie nietknięta.

Już jesteśmy na poziomie grobów królewskich, a teraz zestąpimy niżej, do skarbcza. W owym to skarbcu znalazła śmierć Ametys. Jeszcze kilkanaście stopni... Musimy ten gład odsunąć. Tak. Dobrze. Oj, jestes pan silny, jak Herkules...

— Pani jest na mnie łaskawa, chociaż moja herkulesowa siła nie imponuje pani wcale.

— A teraz wchodzimy. Patrz pan!... Tam w głąbi sarkofag, w nim mumią królewny.

Podejdź pan bliżej.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Nie mogę...

— Nie śmie pan spojrzeć na ofiarę zbrodni...

— Pani mnie smaga, a wygląda pani w tej chwili, jak złowróżbna pytonissa a piękna...

— Więc nie patrz pan na mnie...

Patrz tu: jest to miejsce, gdzie stały niegdyś skrzynie pełne złota, drogich kamieni, tkanin i wyrobów z kości słoniowej...



A tu na ścianie... te dwie wielkie plamy, pełnią nadpsute, to jej krew...

— To... jej... krew...

— Nie dziw się pan wrażeniu, raczej dziw się, że może nadto panujesz nad sobą. Ta woń grobowca działa odurzająco i nikt tu nie był, aby z sobą zachować wciśnienia nie wyniosł. Zda się, że westchnienia słychać, że szmerne lzy tryskają ze ścian, że plamy krwi poczynają goręć piekielną purpurą, a wieko sarkofagu rytmicznie się podnosi. Nie, nie, to złudzenie! Ametys spój mocno, w powijaki skrzepowana i niema serca ani wewnętrzności, a jej lazuruwe oczy zimne.

— A jej lazuruwe oczy zimne...

— Chcesz się pan oprzeć o ścianę i wahasz się... Tak, to słuszniciel te ściany nie są martwe, mają swoje nerwy i ciało i historię swojej meki. Piękny panie Danielu, pan drżysz? Może chcesz to miejsce opuścić?

— Tak... duszno mi...

— No to spójrz pan tylko jeszcze na drogę od rdzawych płam na ścianie do sarkofagu i wyjdźmy...

— Pani jesteś okrutna...

— Czyżby?

— Tu na złomie granitu, u stóp zimnego pylunu usiadł. Księżyc jeszcze nie zaszedł. Jak pijany krwią satrapa stacza się ku brzegom horyzontu. Czy panu lepiej?

— Tak.

— Opowiem tedy panu dalsze dzieje Ametys. Miała zostać żoną faraonowego syna. Już nadzsedł czas. Już w wielkiej świątyni Ammona szykowano się ku uroczystościom, a pałac królewski gotował się ku zabawom i ucztom. Narzeczeni nie widywali się teraz ze sobą.

Ametys w samotnej przebywała komnacie, również do dnia uroczystego się sposobiąc. Towarzyszyła jej stara chaldejka, dobrze znająca się na gwiazdach i na wróżbach. Nie wróżyła ona Ametys szczęścia, lecz nie śmiała jej mówić o tem, strzegła tylko, by nikogo obcego nie wpuszczono do pięknej faraonówny.

Lecz na trzy dni przed obrzędem zaślubin stało się tak. że chaldejka musiała odejść, wezwana przez mistrza ceremonii. Wtedy nieopatrzna służebna wpuściła do królewnej handlarza tkanin. I stała się rzecz okropna: błękitnooka Ametys o złoto-różowym ciele dojrzejewając brozokwinia uciekła z handlarzem tkanin. Żałoba zapanała na dworze. Zarządzono ścisłe poszukiwania, lecz bez skutku. Chaldejka jęcząc leżała w popiele w pustej komnacie swej wychowawcy. Aż trzeciego dnia nad wieczorem zjawiła się na schodach pałacu podobna do cienia Ametys. Jądro miała białe i usta, jak różowy korał; spuszczone oczy i na piersiach skrzyżowane ręce. Szała sztywna, jak mumia, a nikt ze służby nie śmiał jej zatrzymać. Weszła do swej komnaty i z cichym jękiem osunęła się w ramiona chaldejki.

A na drugi dzień w grobowcu, który opuściliśmy przed chwilą, wzniesiono wspinały sarkofag, oczekujący mieszkańca...

Aż dnia czwartego, kiedy wschodzące słońce różowilo szczyby piramid, kapłani Atory przyprowadzili do sarkofagu ofiarę. W białą szatę długą a przezroczystą, złotem haftowaną, była odziana; przez ramiona przelewał się czarny strumień włosów. A lazuruwe oczy stały się szerokie i łilokowe przerażeniem.

Za kapłanami szedł król i nieszczyśny narzeczony.

Aż wszyscy stanęli półkolem wkrąg białej dzierzewiny, zaś ona oparła się o ścianę plecami i rozkrzyżowała ręce jak gołąb skrzydła.

— Umrzysz,— powiedział do niej ofiarnik i błysnął szyletem, a potem ostrze jego wsparł na swej lewej dłoni i dojął, trwając w postawie wyekucykanej:

— Co masz na swoją obronę?

Ametys— uśmiechnęła się dziwnie, powiodła oczami po zgromadzonych, a później, zbierając rozchylną na piersiach szatę, jąła śpiewać:

— Słodkim był twój głos, uwodzicielu!

Wszedł do komnaty mojej o zmierzchu, kiedy trwa krótka chwila między purpurowym spojrzeniem odchożącego dnia i ametystowym westchnieniem nocy.

— Słodkim był twój głos, uwodzicielu!

Układał przedemną i wraziwszy we mnie chytrą akasmitność czarnych oczu, począł rozkładać swoje towary: fenickie klejnoty i posąski, złotą żywicę północny, szaty, grecką barwioną purpurą i wonności Arabii.

— Słodkim był twój głos, uwodzicielu!

I nad wszystkie drogocenne towary zachwalles rubinową słodycz pocałunku, perłowość omdleń w zapamiętaniu, jedwab pieszczot, wino rozkoszy, pieśń szczęścia.

— Słodkim był twój głos, uwodzicielu!

Zawisłam ci na szyi i rozpalila mnie miedź twojego ciała i porwałes mnie ze sobą; choć nie wiedziałam, gdzie twoja ojczyzna i jakim bogom czynisz ofiary.

— Nic nie mam na swoją obronę...

A gdy minęły dni trzy, odplótles z szyi twoje obręcze mych złotychórzonych ramion, odsunales się ode mnie i kazałes mi iść precz z twoego namiotul...

— Nic nie mam na swoją obronę...

Upadłam do twych nóg w oblakaniu i chciałam całować nogi twoje, a tyś się odwrócił ode mnie i na usługi gwizdał.

— Nic nie mam na swoją obronę...

Nie dałam się dotknąć służalcem i wyszłam sama.

A pod nogami miałam rozpalone żużle, wiatr poranny kasał mnie, jak płomień i żar powietrza suszył mi serce. Stałam się sztywna i z czerniała, jak trupia kukla...

— Nic nie mam na swoją obronę...

I poszłam po śmierć...

Ametys ruchem zwinnym wyrwała nóż z ręki kapłana i wbiła go w pierś lewą aż po rękojeść.

— Słodkim był twój głos, uwodzicielu! szepnęła, padając we krwi.

— I cóż, piękny panie Danielu?

— Tak... tak... i ja... znalazłem Ametys...

— Tak, Ametys idzie przez wieki...

MARYA IWANOWSKA (THERESITA).

TYFUS PANNY JAŚKI.

5)

Trzy lata minęły.

Siedmioletnia wojna wszechświatowa dobiegła kresu. Zmieniła się karta Europy, państwo polskie stało się rzeczywistością, o której nikt nie śmiał już powątpiewać lecz w Budziszewiu p. Żelazkiego nie zmieniło się nic zgola.

Wciąż rosła biała róża w cienistej alei, a rozmazany co roku nowe wypuszczal listki, albowiem Jaśce nie spieszyło się.

Była dla wszystkich zawsze serdeczna i równa — i nawet nie rozdzielała nikomu koszyków...

Rozdawała sama kwiaty, ale w ten sposób, że nikt nie śmiał zapytać czy komu tebie siebie nie zechce ofiarować.

Ojciec kręcił trochę głową, nad tem upokorzeniem godności męskiej i straszyl ją, że zostanie starą panną, ale była to groźba pusta... W samej rzeczy ojcę było tak dobrze z Jaśką, że tylko czuł się zadowolony z jej usposobienia.

Ja także przybierałam srogą minę ile razy ją spotykałam, nie omieszkujać zapytać się, czy jeszcze boi się tyfusu.

I zawsze słyszałam tę samą odpowiedź, że się boi i coraz więcej boi, a na cale usprawiedliwienie, dodawała z uśmiechem: Nie było jeszcze okazyi.

Doprawdy o dziesiętyleć młodzieży zaczynałam już mieć smutne wyobrażenie.

Ja teraz, kręcąc głową i spoglądając z góry, powtarzałam Jaśce: Za dużo ma swobody ta mała, za dużo, to się źle skończy. W ogóle był to kotek, co chodził własnymi drogami, ale dlatego może każde widzenie się z nią było dla mnie prawdziwym świętem.

Zazwyczaj spędzałam u niej wakacje letnie, ale w tym roku wybrałam się wcześniej, bo na św. Jana 25 czerwca, miały być obchodzone imieniny Jaśki.

Przyjechałam w wilję, ale zastałam już mnóstwo gości, bo zapowiedziano zabawę na dwa dni, a właśnie dziś miano palić sobótki, puszczać wianki na stawie i szukać po ogrodzie, nocną porą, tajemniczego kwiatu paproci.

Na szukanie, zdaje się, stanowiąc miało największą atrakcję wieczoru, tem więcej, że między młodzieżą, zauważyłam kilku oficerów z pułku uszary kłosa Stefana Batorego, stojących obecnie na kwaterze w Kaliszu.

Ku mej radości, ujrzałam także Stasia, brata Jaśki, w bajecznym mundurze porucznika tego pułku.

Aż biło od nich uroda, energią i życiem. W tym starym, w stylu Cesarstwa saloniem, z widokiem na cudną aleję kasztanową, która dziś w nocy miała zakwintnąć światłem elektrycznym, ogarniała mnie jakaś dziwna, napoleońska atmosfera.

Roznoszono herbatę w filiżankach z sewskiej porcelany, każda drobna rzecz nawet miała tu swój charakter, była droga i miła.

Wtem podniosłam oczy i zadygotało we mnie serce:

— Rotmistrz hr. Marchocki-Scibor, przedstawia Stas.

Nim zdążyłam pomyśleć... Jastrząb, przeleciało mi przez głowę i już wszystko wiedziałam.

Są bowiem mężczyźni, wobec których kobieta w jakimkolwiek byłaby wieku nie może przejść bez uśmiechu na ustach i bez dreszczu wewnętrznego. Mężczyzna taki może być piękny, albo brzydki, dobry albo zły, mniej lub więcej mądry i świętny, ale musi posiadać moc władczą, siłę rozkazu, zwycięską wolę, która podbija i na kolana rzuca i wstrząsa najtajniejsze struny natury kobiecej.

A takim typem nawrócił męskim był rotmistrz Marchocki.

Na twarzy tej wojna położyła swój stygmat, i nie można go było nazwać pięknym w zwykłym słowa tego znaczeniu, ale miał oczy niezapomniane, patrzące śmiało naprzód z pod czarnych, zrosniętych brwi i uśmiech jedyny, w którym odświeżał białe, zdrowe, wilcze zęby.

Jaska chciała nas oboje uhonorować, mnie jako najstarszą damę w towarzystwie, jego, jako najstarszą szarżę, więc przy podwieczorku posadziła nas koło siebie.

Sprawiło mi to żywą przyjemność. Okazało się, że mamy mnóstwo wspólnych znajomych jeszcze z paryskich czasów.

Rotmistrz, bowiem już jako student należał do związków strzeleckich i właściwie dopiero po wybuchu wojny zdołał się przedrzeć do Krakowa.

Spóźnił się już na wyprawę kielecką I-szej brygady, musiał jechać na Węgry i tam z II-gim pułkiem legjonów odbył kampanię karpacką.

Jako chorąży przeniesiony do V-go pułku Zuchowatych, ciężko ranny pod Polską Górą w owych morderczych dniach lipcowych, został wzięty do niewoli i po wyleczeniu w szpitalu w Kijowie, wysłany jako jeńiec na Sybir.

I tu właściwie zaczyna się fantastyczna historia jego wędrowek à la Beniowski.

Podczas rewolucji rosyjskiej udało mu się zorganizować gdzieś koło Bajkału ów pułk husarny króla Stefana Batorego, złożony z jeńców legjonowych i polaków wydziedzonych z wojska rosyjskiego, który to pułk, po nadzwyczajnych przygodach przez Władywostok, przedostał się na front i odznaczył w owych decydujących i pamiętnych walkach w jesieni roku 1918-go.

Przebieg ten pułk wkrótcy pierwszy na Wawel do Krakowa.

Szczegóły te oczywiście znalazł w pismach i legendy, bo rotmistrz, jako każdy szanujący się Piłsudczyk był już opisany, ale tem przyjemniej było mi z nim rozmawiać, bo po pierwsze miał piękny, miękki, głęboki głos, po wtóre czuło się w nim tę prostotę żołnierską, która nie przypuszcza nawet, iż czyn jego mógł być czem więcej niż spełnieniem obowiązku.

Dopiero dźwięki muzyki przywołały mnie do rzeczywistości i przypomniały, że właściwie rotmistrz należy się pannom i należy go im zwrócić jak najprędzej.

Zawirowały pary.

Grano kujawiaka.

Biała w tym ta rozlewna, bezbrzeżna

teśnkota, która piersi wprost rozsada i w świat gna w noc letnie, co zwolna, po cichu niby płomień pelga po ściernisku, aż nagle ogarnie i buchnie żywiołem w zapamiętałym, niewstrzymanym pędzie, w junackim porywie, co w ogień się rzuca i śmierć zwycięża, za jedno łaskawe spojrzenie.

O ten cichy, miękki, skrzypcowy, zawodzący ton a naraz ta dziarska, bujna, męska, niby skrami sypiąca melodia.

Zwolna odpadały jedne po drugie, pary — aż wreszcie rotmistrz z Jaską zostali sami na środku salonu.

Wszystkie oczy zwróciły się na nich. Zaczynał bardzo spokojnie, w skupieniu, prawie, jakby uroczyście, prowadząc z lekką, jakby próbował jeszcze, badał, starał się poznać... aż w tem określił ją, przycisnął do siebie i poniośł w zawrotnym szale... i krążył tak stopieni w jedno; niby żywy płomień, aż do zapamiętania, aż do ostatniego tchu.

Ale był w tym tańcu lot i moc i zarajony miłości.

Trudno było od nich wzrok oderwać. Wyczuwało się, że ten człowiek, który przeszedł świat niesie teraz swoje szczęście i bierze sam i nikomu nie da go sobie wyrwać w upojeniu zwycięskiej dumy a ona już poddawała mu się, odgadując ruchy, z przymkniętymi oczyma, z rozchylo-niem uśmiechem usty, w ramionach jego wznieśionych już była jego zdobywcą i dopełnieniem.

Otworzono drzwi od werandy... porwał ją za sobą na ogród i tylko migała jasna sukenka i płowy niby lwia skórka, mundur husarski, a za nimi sunęły dalsze pary w cieniu alei kasztanowej, która rozbiła się teraz setkami lampionów kolorowych i barwnych kielichów elektrycznych świateł.

Noc świętojańska świeciła swoje czary... w upalnym jej tchnieniu wiewda biała róża... w ogrodzie Budziślowskim zakwitał kwiat paproci.

Zapalono sobótki...

Jasno płonęły ognie nad stawem. W mazurowem tempie popłynął w głąb kór-wód par.

Panny miały teraz rzucać wianki na wodę.

Zostałam sama na ławce pod starą lipą, wsłuchana w szmery i szelesty drzew, w dalekie szumy miodofiejczych śmiechów i przytłumione muzyczne dźwięki.

Nagle jakiś mocny, męski głos zaśpiewał pełnym tonem:

Jadą uszarzy, dziewczyna marzy

Uszarze, uszarze, uszarze, hej!

To hej niosło się, aż do gwiazd w tej ciszy nocnej.

Na samym przedzie

Scibor nasz jedzie.

Uszarze, uszarze, uszarze, hej!

Chór cały teraz podają pieśń i brzmiała śpizem niby pobudka, niby hejnał zwycięskiej.

Ussarz skrzydlaty

Pędi psu-braty.

Ussarze, ussarze, ussarze, hej!

Szli od Tobolska,

Aż tam, gdzie Polska.

Ussarze, ussarze, ussarze, hej!

Choć droga pilna

Weszli do Wilna.

Ussarze, ussarze, ussarze, hej!

Pieśń płynię coraz potężniejsza uroczyście, szeroko, aż dogasa w radosnym okrzyku.

Zdobyli morze,

Dałci Ci, Boże!

Ussarze, ussarze, ussarze, hej!

Przymykam oczy, lecz nie śnię, widzę i słyszę wszystko — tak wyraźnie, tak do-kładnie, tak jasno...

Jestem w Budziślowiu...

Jaska i rotmistrz tam nad wodą... no i Staś w mundurze porucznika.

To wszystko prawda... to jest, Jaska jest...

Dość wszyscy w nią wierzą i jej służą dziś... a jednak przed siedmiu laty wierzy-ła w nią i służyła jej tylko ta garść szaleńców, których nikt nie rozumiał i znać nie chciał.

Oni podjęli ów trud nadmierny, oni zgłębili te ponadludzkie mgęki i jeśli wy-walczyć nie zdołali dłoń, to krwią ofiar-ną wyblagali ów cud dzisiejszy.

Bo ktoś jeśli nie oni, tchnęli w naród tę wolę do zwycięstwa, tę miłość silniejszą niż śmierć... ktoś, jeśli nie oni, ofiarą życia i cięższą jeszcze ofiarą serca, zer-wali pęta niewoli i kazali wierzyć we własne tylko siły ducha.

Gdzież nie płynęła ta krew najczystsza i najgorętsza?

Któż policzy te nasze groby — od Tatr do Urалу — od Renu, do Oceanu Spoko-jnego...

Iluż zginęło od kuli a ilu od rozpacz-nych zwałczani przez wszystkich wrogów — przez swoich nieuznawani, a dziś niech światło świeci im wieczne i chwala będzie im wie-kuista, bo oni to sprawili, że oczy nasze oglądać mogą tą prawdę najczudniejszą:

Naród, który ożył...

Mimowoli myśli me przechodziły w mo-dlitwę, w jakieś dziękczynienie za tę noc jedyną, za to bujne piękno świata, który ciągle odradza się, błogosławieństwo tym, którzy zostali i są żywym świadectwem prawdy.

Zapomniałam o wiankach — o kwiecie paproci...

Zmęczona powoli wracałam do domu. Goście bawili jeszcze w ogrodzie — przeszedł przez puste, jasne salony... już miałam iść do siebie na górę... wtem w ostatnim, marmurowym pokoju zami-gotała mi biała sukenka...

Jaska!

Podeszłam bliżej.

Leżała na kanapie, z oczyma przym-kniętymi, z puszczonym warkoczem.

— Jaska, ty nie w ogrodzie?...

Nie szukasz kwiatu paproci? Co ci jest? Głowa cię boli? i nie czekając od-powiedzi, spytałam z uśmiechem: A może to znowu tyfus?

Potrząsnęła głową.

— Nie — nie tyfus... i nagle podniosła się i objęła mnie za szyję...

— A zresztą niech będzie tyfus — niech wszystko, co chce będzie — już niczego się

LOTERIA KLASOWA NA INWALIDÓW WOJENNYCH

WARSZAWA

Na 32,000 losów—16,000 losów
i 1 premia wygrywają razem

W KRÓLESTWIE POLSKIM

(2-ga Loteria Klasowa Legionów Polskich).

3 miliony 335,000 marek.

Głównie wygrane: 300,000, 180,000, 150,000, 125,000 i wiele innych.

TRĘBACKA 2.

Cena losu w każdej klasie 26 mk.

1/5 losu 13 mk, 1/4 — 6 mk. 50 fen., 1/3 — 3 mk. 25 fen.

Główne wygrane w 4-ej klasie 40,000 mk, 10,000 mk, 8,000 mk. i wiele innych.

Clagnienie czwartej klasy 28 i 30 sierpnia 1918 r.

Bank Ziemiański gwarantuje wypłatę wygranych.

nie boję... bo już nie mam czego żałować...
Ciociu, ciociu jestem bardzo szczęśliwa...

Przy kolacji pililiśmy zdrowie młodej pary i p. Żelazki prosił gości na córki wesele.

KONIEC.



LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.



(CIAĞ DALSZY).

Zygmunt weśnięty w róg kanapki marzył.

Muzyka przenosiła go w krainę wyobraźni i zdawało mu się, że oto jest na zawsze razem z ukochaną kobietą, że wolno mu uczynić ją swoją, upajać się widokiem wdzięcznej twarzyczki i otaczać opieką tę drogą jasną postać.

Uśmiech zdobił usta mężczyzny, czoło wypogodziło się, a wzrok mieścił w sobie tysiące pieszczotliwych słów i wyznai.

Nie wiedział nawet kiedy pieśń przetrwała się i Nina stanęła obok niego zdziwiona jego milczeniem. Głowę miał opuszczoną na rękę, a w oczach lśniły duże, czyste łzy.

Było to coś tak niesłychanego, aby ten dumny człowiek mógł się do tego stopnia zapomnieć, że młoda dziewczyna przestraszona więcej, niż zdziwiona, nie próbowała nawet pytać o powód, cicha i nieśmiała usiadła obok niego, nie wiedząc jak przerwać zdumę.

Nagle Zygmunt wstał, spojrzawszy prosto w twarz Niny, chwycił jej obie ręce i ściskając je z niezwykłą siłą pytał zduszonym, nieswoim głosem.

— Nino, powiedz mi jedno, powiedz blagam cię, ty nie kochasz nikogo, to byłoby okropne, nie ludzkie, prawda? odpowiedz mi, patrz jak ja cierpię, wyznaj mi prawdę.

Nina zachwiała się, w oczach jej pościemniało. Skąd to pytanie i wzrok błędny, rozpaczny prawie. Conęła się kilka kroków, i zdawało jej się, że brzmienia swego głosu nie poznaje. Prawie twardo odpowiedziała mu, że nie rozumie co upoważnia go do takiego odezwania, jakby to nie było rzeczą obojętną dla niego, co dzieje się w jej sercu. Wkończu z dumnym wyrazem rzuciła:

— A jeżeli tak jest, jeżeli rzeczywiście

kochał kogo, to pan z pewnością nie dowie się o tem nigdy.

Ale w teje chwili pożałowała swych słów, widząc jak Zygmunt, zachwiał się, spojrzal na nią wzrokiem niewypowiedzianie smutnym i bez słowa skierował się ku wyjściu.

Jakieś uczucie silniejsze niż duma, rzuciło ją do drzwi, a ramiona bezwiednie wyciągnęły się za odchodzącym.

Lecz on tego nie dojrzał, a Nina cofnęła się, zdjęta nagłym lękiem, że mogłaby zapomnieć o swem postanowieniu. Przypomniło jej się jednak, że już jutro wyjeżdża, że nie zobaczą się już może nigdy, i tęsknota z mocą okrutną uderzyła w jej serce, a z pierśi wydobył się cichy okrzyk:

— Nie odchodź pan tak!

Dosłyszał, powrócił i nim zdolała zapanaować nad sobą, już otaczał ramieniem smukłą kibić i gorące usta przyścisłał do jej twarzy. Obrzucał szaloniem pocałunkami jej oczy, jedwabiste, miękkie włosy, szeptał słowa bez związku, zmieszane z łzami radości i upojenia. Dziewczyna ocknęła się jakby ze snu i, przemocą wyrywając się z obejmującej ją uścisku, odsunęła się parę kroków.

Była tak blada, jakby ani jedna kropla krwi nie została w jej twarzy. Serce ogłuszającym biciem kołatało jej w piersi, a ręce silnie splecione przycisnęła do czoła.

W tej chwili zrozumiała, że kocha go nad wszystko w świecie. Ale właśnie dla tego odpychała go dotąd zimnem spojrzeniem, zabijając w sobie siłą woli wszelkie uczucia.

A on rzucił się do jej nóg, błagał o przebaczenie, zaklinając, by go nie potępiała. Opowiadał o burzy uczuć, jaką długo tłumil w swem sercu, o tęsknocie, jaką targała jego duszą, o tem, że rozpacz stanęła na jego drodze, zabijając w nim wszelką radość życia, robiąc go nieczulym na wszystko, co go otaczało. Mówił, że od pierwszego na nią wzroku nina doznał jakby ośnienia, że obraz jej nosił wciąż w myśli, i nie wiedział nawet o tem, jak coraz więcej ulegał jej czarowi.

— Wierząc mi, Nino, byłem dużo razy kochany, kochałem nawet mnie, ale nigdy nie rozumiałem tak dobrze, co to jest miłość, jak wtenczas, gdy mogłem cię stracić. Pamiętasz wtedy wsamochodzie?—wtedy, gdy taka przestraszona jak ptaszę przytuliła się do mnie bezwiednie?—Achl nie możesz tego pojąć, ty coś nigdy nie kochała, że można szaleć z rozpaczy, wi-

dząc przed sobą drogę bez wyjścia, będąc śpiącym na zawsze, na zawsze. I pomyśleć, że zniknął ratunku, zniknął nadziei!

Oparł głowę na jej splecionych rękach. Ale Nina już odzyskała panowanie nad sobą. Kołysana melodią tak drogiego jej głosu, zapomniała o wszystkim co ją otaczało, zasłuchana, upojona miłością.

Nie, za nic, raczej śmierć—myśli Nina, czując w sercu lodowe tchnienie rozpaczy.

Jednym rzutem oka spojrzała w przepaść, otwierającą się przed nimi, postanowiła ratować jego, gdy sama była już bezpowrotnie zgubiona.

Ratować? co choć kosztem szczęścia i spokoju, choć życiem, własnem nawet, gdyby tego było potrzeba. Bez słowa, zimna i spokojna odsunęła jej ręce.

Gdyby podniósł oczy zląkłby się wyrazu jej twarzy.

— Proszę, przestań pan, nie wolno mi tego słuchać—mówiła przytłumionym głosem—odejdz, proszę, i nie miej do mnie żalu, ale ja... tu zachwiała się, ja nie kocham pana i nigdy, nigdy...

Ale Zygmunt już był przy niej, patrzył w nią, pochwycił jej ręce i szeptał wzruszonym głosem:

— Nino, ty się ludzisz, to nieprawda, na tyle kochania, nie możesz wzgarda, odpowiedzieć, powiedz mi, powiedz choć raz, że nie jestem ci obojętny, a uszanuj twą tajemnicę i pójdz stać nad zawsze. Mówiłaś przed tem, że jeżeli kochasz kogo, to mnie tego nie wyznasz nigdy. Ale to był żart, prawda? Nikt na świecie nie może cię tak kochać, nikt, wierzysz w to Nino?

Nina uwolniła ręce z uścisku Zygmunta i oparłszy się o ścianę, mówiła drżącym głosem, czując, że gdy dalej słuchać go będzie, straci ostatek odwagi.

— Nie, ja mówiłam prawdę, kocham innego... a pan wróci do żony i zapomniał, że nieszczęsną stanęłam na pana drodze. Zapomniał i przebaczyć.

Jakże silny był cios, że zagłuszył w nim zdolność odczuwania, że nie dosłyszał łez drgających w tych słowach i głuchego jęku serca.

Jak pijany zatoczył się, chwycił głowę oburącz, a potem wybuchnąwszy przerykującym śmiechem wybiegł z mieszkania. Długo jeszcze jego śmiech brzmiał w uszach Niny, która wciąż stała nieporuszona, głośną krzyk wracając się w pierś.

Zwyciężyła zatem, nie opuściła jej odwaga, wytrzymała do końca. Nie mogąc ratować go inaczej musiała skłamać, ale tem

odrzucała go od siebie na zawsze. Nie sprzeniewierzyła się drogiej kobiecie i ukochanego człowieka odwiedzała od grzechu. Grzech ten zabili jej żonę, która go bez granic kochała. A teraz póki jeszcze czas, Zygmunt zapomni, przeboli, i znów będą żyli spokojni, szczęśliwi jak wtedy, gdy jej nie było między nimi.

W oczach stanęła jej krwawa smuga, cały pokój począł się z nią kręcić wkoło, w uszach zabrzmiły jakby dzwięk tysięcy dzwonów i wyciągnawszy ręce padła bez czucia na podłogę.

XI.

Prześliczny był buduar pięknej Liany. Nawet najwybredniejsze oko nie mogło wynaleźć w nim najmniejszego nieestetycznego szczegółu. Wszystko zlewało się w jedną harmonijną całość, pieszcząc oczy, miękkością linii i doskonałością pomysłu.

Było to prawdziwe cacko, bombonierka, jak żartobliwie mówił Jerzy. Niemal go też to gniazdko kosztowało, piękna jego pani była wymagająca, co dzień zachwiewała jej się nowej zabawki, a tu z domu pieniądze przestały złotą falą płynąć, Jerzy nadszarpnął mocno majątek, i podobno nawet kredytu mu odmówiono. W końcu zaczął grywać w klubach, najpierw rozsądnie, potem szalenie. Chciał wygrać, musiał, inaczej cóż mu z życia jeżeli nie ogłuszy się, nie upije jego rozkosz? I dziwna rzecz, szczęście sprzyjało mu, wygrał stale i poczęto mu już zazdrościć. A on myślał z gorzycą, że nie mają czego, bo gdyby wiedzieli!... Tymczasem jego wygrana pochłaniała bajeżne sumy, bez troski wyrzucał złoto pełnemi garściami.

(D. c. n.).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECJ.

Emancypacja japońsek.

Wojna światowa odbiła się dodatnio nie tylko na przemysie japońskim, ale także wywołała ogromny ruch emancypacyjny wśród kobiet.

Postęp ten rozpoczął się od nauczania, na uniwersytecie tokijskim poraż piewsz doktorzyowały się japońki, jedna jako chemik, druga na wydziale filozoficznym. Japońki chętnie studiują medycynę, na wydziale tym jest ich 236.

Otworzył także swe podwoje dla kobiet teatr, obecnie otworzono szereg szkół dramatycznych dla młodych adeptek.

Wiele stanowisk zajmują kobiety w pracy biurowej i szkolniczej, choć to ostatnie jest nader nisko wynagradzane. Nauczycielka ludowa otrzymuje 13 yen (35 fr.) miesięcznie, w szkole wyższej 50—60 yen t. zn. 120—150 franków.

Kobieta jako wynalazca.

W roku 1915 zgłoszono w Anglii 268 patentów ze strony kobiet, w roku następnym 278, w 1917—253, podczas gdy mężczyźni zgłosili w ubiegłym roku aż 19 000 wynalazków. Znamiennem jest, że kobiety w swoim dziale, t. j. gospodarstwa domowego, nie wymyśliły nic rzeczywiście epokowego. Wynalazczość kobiet szła przeważnie w kierunku ulepszeń elektrycznych, aparatów do prania, stylizowania mleka, a głównie w dziale pielęgnarskim. W jednym wypadku zgłoszono wynalazek równocześnie ze strony męskiej i żeńskiej. Chodziło o przyrząd do nawijania nici na szpulki. Wobec tegoż maż zbyt często był absorbowany przez żonę jako nawijacz bawelny, co mu się ostatecznie sprzyrzyło i popchnęło w kierunku wynalazczości.

Niepowołana nauka.

Przegląd Wieczorny w Nr. z 30 z. m. zarzucił nam użyty przez nas, w przepisach gospodarczych, skrótowo zwrot: *Soki zimowe*, w znaczeniu soków, przeniesionym na zapasy zimowe.

Tenże *Przegląd*, o parę wierszy niżej, w tytule artykułu o maczarkach, pisze: *Zebrańie związków maczanych (!)*. Dziwicznie chyba jest *Związek maczany*, niż naseż *soki zimowe*.

Zaczem sercu naszych Sz. Czytelników polecamy 16-letniego chłopca, któremu dla poratowania zdrowia lekarz zalecił wyjazd na wieś. Chłopiec odpowiedniem zajęciem zarobić może na swe utrzymanie. Adres: Złota 60 m. 21.

Do najdotkliwszych plag, trapiących obecnie Warszawę, należy niewątpliwie drożyna obuwia. Jedną z naszych stałych czytelniczek znalazła sposób wiele prosty i praktyczny zarazem robienia obuwia domowemu środkami, bez użycia skóry. Zwłaszcza matki, obciążone licznym drobniagiem, mogłyby w tym razie zaoszczędzić sporo grosza.

P. Helena Lochmanówna, bibliotekarka w Schronieniu pod wezwaniem Matki Boskiej, ul. Złota Nr. 30, chętnie udzieli informacji lub też podejmie się w kilku lekcjach nauczyć tego nowego rodzaju szewstwa własnego pomysłu.

Para pantofli damskich z niezbędnymi dodatkami, jako to obcas, podszwa i t. d. wynosi od 8 do 16 marek.

TREŚĆ NUMERU:

Polski postęp, p. Gustawa Olechowskiego. — Chelmszczyzna, p. Julj Kisielska (J. Okse). — Z zagadnień wychowawczych, p. d-ra Mieczysława Smolarskiego. — Zasadnicza reforma wykształcenia muzycznego, p. Franciszka Brzezińskiego. — Czy tak będzie po wielu dworach? p. Stefanję Bojarską. — O teatr ludowy, p. Leona Paczewskiego. — Z listów do Bluszczy, p. K. — Głosy Czytelniczek, p. Z. M. — Nowela i powieść: Chór Pięlgryzmów, dram., p. Wacława Rogowicza. — Wspomnienie, p. Tadeusza Kończycza. — Ametys, p. Zofję Wojnarowską. — Tytus panny Jaski, p. M. Iwanowska. — Spętani, powieść, p. Leonję Grabowską. — Kronika działalności kobiecej. — Dodatek: Z niedawnej a tak odległej przeszłości, kartki z pamiętnika sanitariuszki, p. Konstantego Lana. — Róża na ruinach, powieść, p. Wiktora Margueritte'a. — Ogłoszenia. — Wzory ubiorów i robot do Nr 31—32. — Nasza pogawędka. — Życie i śmierć włosów. — Przepy kuchenne. — Odpowiedzi z dziedziny leczniczej kosmetyki.

OGŁOSZENIA.

SUKIENKI
DŁA
DZIEŃK
UDRANKA
DŁA
CHOCZKÓW
UDRANKA
DŁA
DANOW*

SUKNIE, KOSTYMY, OKRYCIA, BLUZY, SZALAROCZKI
WYPRawy SUWINE
OD 3000 MAREK.

WYWY
BAWELNY
JEDWABNA
BIELZANA
KODNY
GALANTERIA
GRUBIE
PARCETERZA
ZABAWKI



TOWARZYSTWO B. RACJA JABŁKOWSCY

Szkoła Rontalera

(z nieobowiązkową
tańca i angielskim).

Wydział Agronomiczny
(kurs 3-letni).

Warszawa, ul. Polna 46.

Dyrektor szkoły **K. ŻÓRAWSKI**.

Wyższa
8-klasowa
szkoła Realna

Egzaminy wstępne powołujące od 28 sierpnia. Początek lekcyj 2 września.
Na wydział agronomiczny przyjmują się po skończeniu 4 klas.

GABINET DENTYSTYCZNY

WOJCIECH STANISZEWSKI

ODONTOLOG.

ul. Śniadeckich (Kalksta) 12.

STANCJA

dla uczniów

z Tomorowiczów Jarmolińskiej.

Wilcza 56 — 6.

MASAŻ

tworzy, parowanie,
usuwanie wgrzyb,
manipulacje

uskuteczna J. KRAJEWSKA, Boduena 2.

Wydawnictwa „BLUSZCZU”.

Dziennik postręgu kobiecego
tłom. z ang. przez Z. S.
w broszurze Mk 4.—.

Dod. drożyzn. 15% czyli M. 1.60

Zastępowane ślady, powieść
H. Bordeaux t. I. Płecika.
Mk. 1.90

Dod. drożyzn. 15% czyli M. 2.20

NOWOŚĆ:

Żona brata, powieść Courst-
Mahlera, tłom. A. S.
(bez dodatku drożyzniny).
Mk. 5.—

Ostatnio wyszły:

Mina obła Rozmowa o życiu
sielanka dramatyczna
przez Józefa Jankowskiego.
Dodatek drożyzniny 15% czyli
Cena Mk. 1.

Na składzie:

Zofja Wojnarowska

Słowa o miłości i wojnie.
Poezje.

Dodatek drożyzniny 15% czyli
Cena Mk. 3.50.

NASZA POGAWĘDKA.

W szepczym notatniku mody bieleją puste karty... Żadnych nowin nie przynosi przekwitający letni sezon i zaledwie gdzieś z boczku na jakiejś zatraconej kartce widnieją ledwie dostrzegalne znaczki... A treść pusta, blaha, nieinteresująca... Niema tam niczego, co by zajęło pięknym pomysł, niema niczego, co by zaimponowało praktycznością jakiegoś nowego „wynalazku”, nowej kombinacji.

A więc mamy niki, wiadomości o nowym fasonie bluzki — bez zapięcia. Tak. Widoczne zapięcie bluzki jest teraz nietylko mile widziane. Oczywiście, że nie odnosi się to do zwykłych, prostych, kieszonkowych, zawsze modnych, ładnych i wytwornych bluzek, których ozdobą jest właśnie zapięcie na rzad perłowych guzików.

Mowa tu o bluzce strojnieszkiej, która podlega różnym kaprysom mody. Chodzi o to, aby bluzka taka była bez zapięcia, a raczej bez widocznego zapięcia. Bluzki są podobne do staników, gładkie z przodu, długie, schodzące poniżej stanu na

biodra i tu albo zakończone końcami, tworzącymi szarfę, albo proste w formie bluzy bez zakończenia.

Mogą być zakończone baskinką lub też obrybem, ale zapięcie nie powinno być widoczne. Aby zadośćuczynić tym wymaganiom mody, bluzki są sporządzone jak woreczki z głębokim wycięciem szyi, wkładane przez głowę. Przy mniejszym wycięciu szyi dozwolone jest dyskretne zapięcie na ramieniu, umiejętnie ukryte.

Bluzki takie są przeważnie gładkie, luźne, z odpowiedniego materiału, przybrane wyszczem z sutasu, tasie-meczką lub wstążką. Często wyglądają one jak gładki pancerz.

Ogólną charakterystyczną cechą obecnie modnych bluzek jest to, że noszone są one na wierzch, na spódnice. Nawet lekkie bluzki z koronki, tiulu i gazy są w ten sposób noszone. Rękawy są przeróżnych fasonów. Kimonowe, wszystkie, zszyte z kilku części, z długimi lub krótkimi mankietami, wąskie, szerokie, krótkie, długie, fantazyjnie rozcięte — jednym słowem „embarras de richesses”.

Z drobiazgów, tworzących całość kobiecej toalety, moda wspomina jeszcze o woreczkach. Ponięważ skór jest ogromny brak, a jeśli są, to są niebawymie drogie, więc trzeba było wynaleźć jakiś „ersatz”. Są nim woreczki z paciorków. Paciorki wyszyte na kanwie i tworzące przeróżne desenie, całe malarzkie widoki, są nieraz prześliczne i prawdziwie artystyczne. Poza tem są jeszcze woreczki robotą gobelinową, krzyżykową i t. p., gdzie każda z nas znaleźć może wzór, który przypadnie do gustu.

Jeżeli chodzi o praktyczny worek, w którym można ukryć jakieś poczynione zakupy, robotkę i t. p., to celowi temu odpowiadają dość duże marszczone worki, zakończone sznurem czy wstążką lub kołkiem, które przewieszają się na rękę.



№ 3. Kostym spacerowy, złożony z jasnej lub białej sukni i ciemnego paltołka bez rękawów. (Szkic 3). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

№ 4. Jasna suknia spacerowa w formie bluzy. (Szkic 4). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

Wzory Ubiorów i Robot

do № 31—32.



№ 1. Spódnica w pasy z gładką bluzką. (Szkic 1). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

№ 2. Suknia w formie bluzy przybrana wąską tasie-mką i drobnymi guzikami. (Szkic 2). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

№ 1. Spódnica w pasy z gładką bluzką. (Szkic 1). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

Bluzkę sporządzić można z dwóch gładkich materiałów w jednym tonie. Rękawy, boki, kołnierze dopełniają prosto ścięte plecy i przody, z którymi łączy się wstawiona część na spódnicy, o ile materiału na tę ostatnią jest zbyt mało. Bluzka z tyłu zapięta na rzad guzików, przeciągnięty na spódnicy. Kołnierzy duży z małym do przodu wyłogami. Rękawy zakończone mankietami z materiału spódnicy. Bluzkę wykończa merszka.



Szk. 1. Szk. 2. Szk. 3. Szk. 4.



№ 5. Suknia z marszczoną bluzką dla młodej pani. (Szkic 5). Forma na zam. w adm. Bluszczu.



№ 2. Suknia w formie bluzy, przybrana wąską tasiemką i drobnymi guzikami. (Szkic 2). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Faldowana spódnica w połączeniu z luźną, lekko ufałdowaną bluzką, tworzy jedną całość w kształcie bluzy lub płaszcza. Połączenie spódnicy z bluzką przykrzywa luźno związany pasek z materiału. Przybranie stanowi naszytce z wąskiej tasiemeczki, o ile można w tonie rzucików na materiale i drobne perłowe guziki. Kołnierz z batystu lub z chiton, wykończony merszką, odożony na kołnierzu przy bluzce, wykończą wyściele u szyi. Rękawy zdobí tasiemeczka i długi szereg guzików.

№ 3. Kostium spacerowy, złożony z jasnej lub białej sukni i ciemnego paltoćka bez rękawów. (Szkic 3). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Bardzo ładnym dopełnieniem jasnej lub białej sukni jest prosty, nieco z przodu owarty paltoćek z ciemnej miedkiej materii lub trykotu, przewiązany lekko w stanie drapowanym paskiem. Zapiecie stanowią perłowe lub obciążane guziki lub guziki z jedwabnego sznura w kolorze paltoćka. Sznur zastąpić można rulonikami z materiału.

№ 4. Jasna suknia spacerowa w formie bluzy. (Szkic 4). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Jasna lub biała suknie z grubego samodzielnego szluciu przybrana czarny satasz, naszyty w prostych linijkach na przodzie i z tyłu przy wycięciu u szyi. Czarny pasek, związany z boku na krótką szarfę, czarna stebnowka i merszka dopełniają przybrania. Rękawy szerokie, niebity długie z szerokim odwinieciem, doł spódnicy zakończony szerokim obrębem.

№ 5. Suknia z marszczoną bluzką dla młodej pani. (Szkic 5). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Szluczna i skromna suknia z niebieskiego kreponu dla młodej pani, odpowiednia na zebrania, wesela i t. p., składa się z niezbyt szerokiej spódnicy, ozdobionej trzema szerokimi zakładkami, w sztywnym merszką i z marszczoną, z tyłu zapiętej bluzki, przybranej marszczoną koronką, zastępującą kołnierz. Odpowiednia koronka zakończą rękawy. Pasek z szerokiej niebieskiej wstążki, związany z tyłu na karku z kołkami.

Potrzeba: $\frac{1}{4}$ metra materiału 100 centym. szerokości, 2 metry wstążki 11 cent. szerokości, 2 metry koronki wywodzonej na tytu, 24 cent. szerokości.

№ 7. Suknia w formie bluzy, przybrana motywami flet guipure i merszką dla młodej pani. (Szkic 7). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Suknia z białego fularu składa się z faldowanej bluzki i ze spódnicy w ten sposób ułożonej w faldy, że łączą się z faldami bluzki i tworzą jedną całość. Boki spódnicy zdobia merszka wszędzie zakładki, na przodzie i na tylnym brycie wszystkie ażur motywy flet guipure. Pasek z materiału; z boku długa, wąska szarfka, wykończona szeroka, cienką merszką. Kołnierz obciążają pomponiki. Duży prosty kołnierz osztyt koronką flet guipure. Rękawy do łokcia przybrane merszką i falbaneczką z materiału.

Potrzeba: $\frac{1}{4}$ metra materiału 110 cent. szerokości, $\frac{1}{4}$ metra koronki 6 cent. szerokości.

№ 8. Stroja sukienka dla dziewczynki od 4—10 lat. (Szkic 8). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Sukienka z tiulu, woalu, etaminy lub innego przezroczystego materiału na podłożeniu kolorowym, składa się jakby z podwójnej spódnicy, zakończonej pięknym haftem na bardzo cienkim materiale i ze szlucznej bluzki, marszczoną kilkakrotnie przy wycięciu, przybranej dużym kołnierzem i odpowiednim do spódnicy haftem.

№ 6. Nowy sposób upięcia na wysokim uczesaniu.



№ 10. Strojna suknia z haftowanego batystu. (Szkic 10). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.



№ 11. Skromna suknia ślubna z małym trzosem i welon przybrany koronką. (Szkic 11). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

№ 12. Suknia ślubna przybrana koronką. (Szkic 12). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

№ 8. Strojna sukienka dla dziewczynki od 4—10 lat. (Szkic 8). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 9. Sukienka dla dziewczynki od 8—12 lat. (Szkic 9). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Potrzeba: $2\frac{1}{4}$ metra materiału podwójnej szerokości, 2 metry wstążki na pasek 13 cent. szerokiej.

№ 9. Sukienka dla dziewczynki od 8—12 lat. (Szkic 9). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Sukienka w formie bluzy z bladoniebieskiego krepenu, z tyłu zapięta, przybrana dużym, pelerynkowym kołnierzem, zdobnym ręcznym haftem. Pod bochenkami fałdami przeciągnięty pasek, lekko obcisła sukienka w stanie.

Potrzeba: $2\frac{1}{4}$ metra materiału podw. szer.

№ 10. Strojna sukienka z haftowanego batystu. (Szkic 10). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Spódnica z otwartą z przodu tuniką tak jest sporządzona, że bluzka i tunika tworzą jedną całość. Szerokie rękawy zakończą haftowane wyłożenie. Kołnier i wyłogi przy bluzce oszyte koronką.

Potrzeba: $3\frac{1}{2}$ metra materiału podw. szer., 6 metrów koronki 3 centymetry szerokiej.

№ 11. Skromna sukienka ślubna z małym trenem i welon przybrany koronką. (Szkic 11). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Zupełnie gładką, niezbyt krótką spódnicej

wy sposób upinania welonu wysokim uczesaniu.



Szk. 15. Szk. 16. Szk. 14. Szk. 7. Szk. 13.

dopelnia przypięty tren, wykończony na fularze, lub bez podszewki. Sukienka może być też sporządzona bez trenu. Gładką, z tyłu zapiętą bluzkę przybiera tylko girlandka w około wycięcia. Koronkowy szal, lekko upięty, zastępuje szarfę. Trzy koronkowe motywy, przymocowane paczkami pomarańczowego kwiatu, tworzą słuszny czepek.

Potrzeba: $5\frac{1}{2}$ metra jedw. mat. podw. szer.

№ 13. Sukienka z tuniką i skrzyżowanym upięciem bluzki, odpowiednia dla osoby starszej. (Szkic 13). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Suknie w dwóch cieniach, w kolorze popielatym, brązowym, lilu, *taube i t. p.*, zestawiona z taty i gazy, przybiera haft na biodrach, rękawach i na odstępnym kołnierzu, wykończonym na fiszbinowych podstawkach. Upięcie bluzki z przodu skrzyżowane, bardzo korzystnie wypełnia szczerpą figurę. Rękawy do łokcia zakończone ciemniejszym wyłożeniem i sznurowaniem z pomponkami.

Potrzeba: $3\frac{1}{4}$ metra taty, $2\frac{1}{2}$ metra gazy podwójnej szerokości.

№ 14. Sukienka przybrana haftem dla młodej panny. (Szkic 14). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Materiał: batyst, woił, tul i t. p.—przybranie aplikowane szalki haftowane. Spódnica marszczona łączy się z marszczoną, z tyłu zapiętą bluzką. Pasek z kolorowej wstążki, odpowiedniej do podłożenia, na jakim wykończona jest sukienka.

№ 15. Ubranie dla chłopca od 4—11 lat. (Szkic 15). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Bardzo zręczne ubranko składa się z długich do kolan majteczek włożonych na wierzch i z bluzki krytoj zapiętej, ożywionej kołnierzem i mankietami z batystu lub płótna, wykończonymi meszka.

№ 13. Sukienka przybrana haftem dla młodej panny. (Szkic 14). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 16. Sukienka z chusteczkowym kołnierzem dla dziewczynki od 7—12 lat. (Szkic 16). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Sukienka z materiału w rzucie, składa się z marszczonoj, gładkiej spódnicy i z gładkiej również skromnej bluzki, którą słusznie przybiera i dopelnia kołnier w kształcie skrzyżowanej z przodu chusteczki, przybrany małymi rozetkami. Kołnier sporządź można z tiulu lub z batystu i lekkiej, wywodzonej na tiulu koronki albo z cienkiej Valenciennes.

Potrzeba: 2 metry materiału podwójnej szer., $\frac{1}{2}$ metra tiulu też podw. szer., 1,40 metra koronki 11 cent. szer.



№ 7. Sukienka w formie bluzy przybrana motywami filet gupure i meszka, dla młodej panny. (Szkic 7). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.



Sukienka ślubna z tuniką, przybrana koronką. (Szkic 12). Forma na zam. w adm. Bluszczu.



№ 13. Sukienka z tuniką i skrzyżowanym upięciem bluzki — odpowiednia też dla osoby starszej. (Szkic 13). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.



№ 15. Ubranie dla chłopca od 4—11 lat. (Szkic 15). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 16. Sukienka z chusteczkowym kołnierzem dla dziewczynki od 7—12 lat. (Szkic 16). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Życie i śmierć włosów.

== (CIĄG DALSZY).

Około czterdziestego roku życia włosy poczynają siwieć i wreszcie bieleją całkowicie. To też siwizna jest udziałem starości, chociaż spotykamy często ludzi jeszcze młodych i już siwych. Ale dlaczego włosy bieleją?

Dokonyamy raz jeszcze operacji, jaką odbyliśmy przy pierwszej znajomości z włosem. Weźmy włos siwy, potnijmy go na kawałki i włóżmy pod mikroskop. Przekonamy się, że włos siwy zachował całkowicie swoją budowę, że posiada, jak poprzednio, swój płaszcz, czy futeł i po-



№ 18. Stanik na gorset przybrany haftem. Forma i wzór na zam. w adm. Bluszcza.

dwojnie szeregi komórek środkowych. Brak tylko jednej rzeczy—tyłku na komórkach. To też komórki stały się białe, przezroczyste i nie zawierają tłuszczu barwiącego, jak włosy młode. Dlatego właśnie włos bieleje, gdy zanika tłuszcz barwiący.

Powstaje pytanie, dlaczego i jak ów tłuszcz zanika? Na to pytanie przed rokiem 1902 nie można było dać odpowiedzi; dziś, dzięki pracom doktora Miecznikowa, słynnego uczonego z instytutu Pasteura, posiadamy już klucz zagadki.

Badając uważnie pod mikroskopem włosy, które zaczynają dopiero siwieć i włosy zupełnie białe, zauważymy pomiędzy komórkami zwykłymi inne komórki o niezwykłym wyglądzie, dziwnych kształtów, zapoatrzone w macki, a których z pewnością nie wytworzyła brodawka włosowa. Co tu porabiają ci cudzoziemcy, te intruzy? Wszczykują bój zażarty, bez pardonu, ze spokojnymi komórkami włosa, pożerają ich tłuszcz i, obławowane zdobyczką, uciekają, jak złoczyńcy; jedne przez koniec włosa ulatniają się w powietrze, drugie, daleko liczniejsze, przez korzeń włosa dostają się wskrę i pod skórę.

Ci pozeracze tłuszczu, te pigmentofagi to starzy Miecznikow poznał w nich te same komórki zabójcze, które w ten sam sposób pożerają komórki nerwowe, osłabiające umysł, komórki mięśniowe, odbierające siłę, komórki wątroby, wydzielającej żółć, komórki kostne, tworzące szkielet ciała. Ta banda głośniejszych znanych makroflagów, tych komórek żarłocznych, zakradających się do naszego organizmu, prawdziwych rabusiów, co napastując komórki spokojne i pracowite, zużyte przez pracę i osiwiałe w trudach, przyspieszają starość organów i prowadzą je nieubłaganie ku śmierci.

Jeżeli to prawda, to siwiejemy dlatego, że w pewnym okresie życia komórki włosów na-



№ 17. Nocna koszula przybrana stylowym haftem. Forma i wzór na zamów. w adm. Bluszcza.

szych podlegają napaści pigmentofagów, to jak wytłomaczyć wypadki, w których włosy siwieją w ciągu jednej nocy, w ciągu godziny, nawet w ciągu kwadransa?



№ 20. Przykrycie do imbryka zdobne haftem. Wzór na zamów. w adm. Bluszcza.

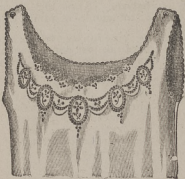
Wiadomo, że nieszczęśliwa Maryja Antonina osiwała w ciągu jednej nocy po swem skazaniu. Słynny dr. Rayer przytacza w swych dziełach historię pewnej kobiety, niejakiej Leclère, pozwanej do izby parów, jako świadka, w sprawie Louvela,

zabójcy księcia du Berry. Wezwanie wywarło tak silne wrażenie, że włosy kobiety obieleły w ciągu jednej nocy. Pewien autor włoski opowiada, że Guarini, jeden ze wskrzesieli klasycyzmu we Włoszech, ujrzał się siwym w jednej chwili po otrzymaniu wiadomości o zagabieniu rękopisów, jakie z wielkim trudem zebrał w Konstantynopolu; Ludwik Sforza w ręce osiwiał w ciągu nocy, gdy wpadł w ręce swego wroga śmiertelnego, Ludwika XII.

(D. c. n.).

PRZEPISY KUCHENNE.

Koper suszony, solony. Obrab galazki kopru, układając je w słoiku, przysypując każdą warstwę solą, zawiązać papierem pergaminowym



№ 19. Koszula dzienna (patrz ryc. 17 i 18). Forma i wzór na zam. w adm. Bluszcza.

i przechować w zimnej spiżarni — koper ten zachowuje zupełną świeżość, kolor i zapach—przed użyciem trzeba go opłukać w zimnej wodzie.

Szczaw na zimę. Świeży, obrany z korzonków, bez płukania, posiekać drobno i na misce posolić, wymieszać dobrze i nakładać w butelki małe, suche, z otworami o ile można szerokimi i albo dobrze zakorkować, obwiązać kawałkiem czystego płótna i gotować w garnku w zimnej wodzie od zagotowania 30 minut, albo zalać pakietem.

Rydzę marynowane. Średniej wielkości ładne, świeże rydze opłukać dobrze w wodzie i ułożyć na sicie, następnie włożyć w rondel i przysypywać warstwami cienko pokrajaną w plastry cebulą, przykryć rondel i postawić na wolnym ogniu naczynie się duszą — a gdy jest już niewiele sosu, zalać szklanką dobrego octu. Po zagotowaniu złożyć rydze w wazę, zalać zimnym przegotowanym octem z pieprzem, bobkowym listkiem, a układając w słoiki, dolać octu przegotowanego, aby pokrył rydze, zawiązać pecherzem i trzymać w suchym miejscu. Na kilka godzin przed podaniem osłodzić, trochę ocukrować i podać z cebulą i galaretką, jaka się tworzy w tych rydzech. Dawniej zalewano się suto oliwą.

Grzyby marynowane. Małe, zdrowe grzyby opłukać w wodzie, mieć w rondlu wrzącą, dobrze osoloną wodę, wrzucić w nią grzyby, aby się kilka razy zagotowały, odcedzić z wody na sito, a gdy obeszna ułożyć w małe słoiki bardzo starannie umyte i wytarte, zalać zimnym przegotowanym octem z małą ilością pieprzu i liści bobkowych, zawiązać pecherzem i plótnem i trzymać w suchej spiżarni.

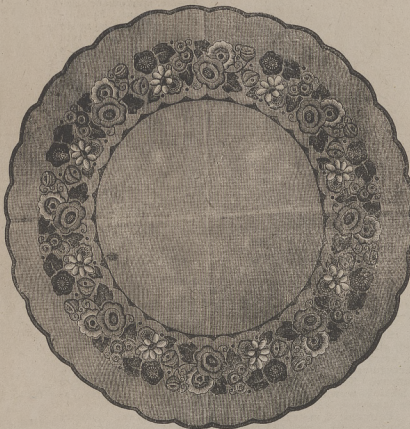
A. N.

Odpowiedzi z dziedziny leczniczej kosmetyki.

==

Filipol... Powiększenie biustu można jedynie osiągnąć sposobem naturalnym, t. j. zapomocą gimnastyki (choćby podług książki Millera) i nacieraniem piersi od dołu ku górze zimną wodą z solą. Wszelkie środki wewnętrzne są błędne, gdyż lekarstwo działające na wewnątrz i na organizm nie może specjalnie wpływać na wzrost jednej tylko części ciała. Ruch, sporty i gimnastyka rozwijają mięsień i klatkę piersiową a tem samem i biust powiększyć się może.

Dr-ożka J. Sadowska.



№ 21. Serwetka okrągła zdobna kolorowym haftem. Wzór na zam. w adm. Bluszcza.

